



STARA WARSZAWA ODRADZA SIĘ W NOWYM PIĘKNIE. ZABYTKOWYCH BUDYNKÓW Z CZASÓW C. NALETTA NIE ZESZPECIŁ SĄSIEDZTWO CZYNSZOWYCH KAMIENIC I WAŁĄCYCH SIĘ RUDER. BUDOWNICZOWIE SOCJALISTYCZNEJ STOLICY PRZYWRACAJĄ PEŁNY BLASK JEJ PAMIĄTKOM.

SWIAT

NASZA KRONIKA

A WIĘC mamy sprawę niemiecką na nowym etapie. Wybory, odbyte w zachodnich Niemczech 6 września, i ich wyniki skupiły żywe zainteresowanie wszystkich Polaków. Sprawa niemiecka, tak ważna dla całości układu stosunków europejskich, ma dla nas, sąsiadów Niemiec, pierwszorzędne znaczenie. Losy obu narodów — polskiego i niemieckiego — wiążą się ze sobą w nierozdzielny sposób. Rzecz w tym, by był to związek przyjaźni, a nie nienawiści, pokoju, a nie wojny.

Hasła naczelne mickiewiczowskiej „Trybuny Ludów” brzmią: „Porozumienie braterskie z Niemcami — Wyzwolenie Włoch — Odbudowanie Polski wolnej i niepodległej”. Odbudowana i niepodległa Polska dąży i dążyć będzie nadal wytrwale do realizacji również i pierwszego hasła mickiewiczowskiego. Nasza troska o Niemcy, nasze zaniepokojenie wynikami wyborów w zachodnich Niemczech — to nie tylko zainteresowanie się o nasz los, ale także o Niemcy. Pewni swojej sprawy martwimy się widząc, że oto w Niemczech zachodnich część narodu niemieckiego, poddająca się imperializmowi i własnym pohitlerowskim demagogom, nie może, nie umie znaleźć swojej drogi, prowadzącej do zjednoczenia i do pokoju.

Jest to ta sama troska, którą ze strony niemieckiej wyrażał kiedyś Engels pisząc: „My, demokraci niemieccy, jesteśmy szczególnie zainteresowani w wyzwoleniu Polski. Właśnie niemieccy książęta skorzystali z rozbiorów Polski, właśnie niemieccy żołnierze uciskają jeszcze dziś Galicję i Poznań. Nam, Niemcom, a przede wszystkim nam, demokratom niemieckim, musi zależeć na tym, aby zmyć hańbę z naszego narodu. Żaden naród nie może stać się wolnym, a jednocześnie uciskać inne narody. Niemcy nie mogą więc stać się wolne bez wyzwolenia Polski od ucisku niemieckiego. Dlatego też interes Polski i Niemiec jest wspólny, dlatego też demokraci polscy i niemieccy mogą współpracować w imię wyzwolenia obu narodów”.

Gdy na liście rządzących w Bonn, jak pisał kiedyś Marks o innych rządzących Niemcami, „powtarzają się ciągle te same trzy typy: świętoszek, kaprał i biały” — za głos prawdziwych Niemiec przyjmować będziemy nie to, co na bońskim placu wykrzykuje Adenauer, ale to, co pisał Engels.

S PRAWA niemiecka — to sprawa pierwszorzędnej dla Polaków wagi. Poprzez tę sprawę widzieć możemy wszystkie inne, obchodzące najżywiej nasz naród. Na przykładzie sprawy niemieckiej wytłumaczyć można wszystko, co dla naszego narodu dobre i złe. Na przykład imperializm amerykański. Są tacy, co uśmiechają się pod wąsem, gdy mówimy, że ten imperializm bezpośrednio zagraża naszemu narodowi i jego niepodległości. Prawda, żołnierze amerykańscy nigdy nie okupowali naszego kraju. Okupowali go amerykańscy między innymi bankierzy. Okupowali hitlerowcy, w pchnięciu których na wschód i uzbrojeniu nie mały udział kapitał amerykański.

Dla tych, którzy nie chcą myśleć, to jednak sprawy dalekie i zbyt skomplikowane. Ale dziś nie mamy skomplikowanej sytuacji: Adenauer na bońskim rynku nawołuje do marszu na wschód. Armia Adenauera jest organizowana i uzbrajana przez Amerykanów.

Tysiąc historycznych argumentów, dowodów i faktów głosi najprawdziwszą prawdę o stosunku Watykanu do Polski, o stosunku wrogim i przeniwierzczym. A to, że dziś Watykan poparł w wyborach Adenauera, że dziś cieszy się z jego zwycięstwa — to już nie przeszłość, nie stare rzekome pomyłki watykańskich kardynałów — sekretarzy stanu, czy też rzekome taktyczne posunięcia, dokonywane wbrew rzekomej głębokiej miłości dla Polaków żywej w głębi papieskiego serca. Poparcie Watykanu okazane i okazywane dalej Adenauerowi, i całej skupionej wokół niego pohitlerowskiej szumowinie — to nie historia dawnych wieków czy nawet ostatniego lat dziesiątka, ale rzeczywistość dnia dzisiejszego, dla każdego tak jasna i oczywista, wymowna i gorąca jak jedna z pochodni, oświecających w czasie bońskiego wiecu Adenauera i jego bojówki.

C ZY WIĘC powtórzenie sytuacji z 1939 roku? Nie, nowa sytuacja narodu polskiego, stworzona dzięki polityce władzy ludowej, dzięki polityce i ideologii mądrej partii. Tak jest: w sojuszu z imperializmem amerykańskim, w oparciu o Watykan i inne wsteczne i wojenne siły w Europie i w świecie podnosi się lew niemieckiego militarysty i odwetu. Ale nie jest on dla Polski tak groźny jak w 1939 roku.

Dlatego, że mamy sojusz. Nie jak w 1939 roku z Francją, przezartą hitlerowskimi wpływami, nie z Anglią, tradycyjnie bijącą się do ostatniego cudzego żołnierza, ale ze Związkiem Radzieckim. Wówczas całej sile niemieckiego faszyzmu, uzbrojonego przez imperializm, osłabieni przez zdradę i zaprzaństwo, mogliśmy przeciwstawić zaledwie bohaterstwo niemal bezbronnego żołnierza. Dziś stoi za nami potęga, która budzi respekt nie tylko szlug imperializmu takich jak Adenauer, ale i samej stolicy imperializmu — USA.

Nie jesteśmy sami: oni, wrogowie nasi z zachodu, to nie całe Niemcy, bo przecież w wyborach 9 milionów głosowało przeciwko Adenauerowi i armii europejskiej, bo istnieje także i Niemiecka Republika Demokratyczna; jesteśmy państwem ludowym, w którym rośnie niespożyta siła patriotyzmu. Możemy dziś ze spokojem przyjmować imperialistyczne manewry w zachodnich Niemczech, bo jesteśmy silni. Takie są polityczne owoce budowania w Polsce państwa socjalistycznego. Każde inne państwo polskie dziś byłoby tylko ponętym łupem dla Adenauera i bezwolnym przedmiotem gry w ręku Dullesa.

A dziś, dzięki wszystkiemu, czegośmy przez lat dziewięć dokonali, możemy zachować spokój silnego narodu, który jest pewien, że pokój będzie zachowany i że w narodzie niemieckim zwyciężą wreszcie siły pokoju.

JAN SZELAĞ



Każdemu przyjezdnemu Warszawa ukazuje się jako wielki plac budowy. Praca jest tutaj prawem każdego obywatela. Nikt w Polsce nie zna strachu przed bezrobociem.

WIDZIAŁEM WA

Tekst i zdjęcia: FRANCO PINNA

Fotoreportaż ten opracowany został specjalnie dla „Świata” przez dziennikarza włoskiego, który bawił w Warszawie z okazji Międzynarodowego Kongresu Studentów.

W IDZIAŁEM Warszawę. Oglądałem dzisiaj to miasto i nie wierzyłem własnym oczom. Zagubiłem się prawie w tym zabiegliwym zgiełku, w tym kombinacie budowy. Jakieś dziecko zatrzymało mnie na ulicy, prosząc o autograf na pamiątkę: objąłem je i ucałowałem. Był to właściwie pocałunek dla całej Warszawy, pierwsze moje zetknięcie z mieszkańcami zadziwiającej Stolicy.

Znałem już historię Warszawy, wiedziałem, że należy ona do najstraszliwszych opowieści z ostatniej wojny: Hitler i jego faszysty chcieli zdusić odwagę, ducha wolności i niepodległości bohaterów jej mieszkańców...

Prezydent Bierut oświadczył, że Warszawa będzie odbudowana jako stolica nowej demokratycznej Polski. Zapal odbudowy ogarnął — wszystkich: robotników i pracowników, studentów i uczniów, kobiety i dzieci. Pracowali dniem i nocą, i wreszcie powróciło tutaj życie, zaświeciło słońce.

Wiedziałem o tym wszystkim z demokratycznej prasy włoskiej, z fotografii — ale dzisiaj ujrzałem Warszawę własnymi oczyma. Widziałem robotników szczęśliwych, pracujących spokojnie w cieniu czerwonego sztandaru, rozmawiałem z nimi, opowiadałem im o ciężkiej egzystencji robotników włoskich, pozbawionych pracy. Mówiłem o straj-

kujących, którzy walczą o lepsze warunki życia; mówiłem o robotnikach włoskich, wypędzonych z fabryk... Mówiłem o robotnikach i górnikach, którzy codziennie idą do pracy w niepewności, czy nie zastaną fabryki zamkniętej. Opowiadałem o bohaterskich walkach, które toczy włoska klasa robotnicza przeciw odradzaniu się nowego faszyzmu pod „opieką” Chrześcijańskiej Demokracji i pod protektorem Ameryki.

Patrząc na robotników polskich, powróciłem myślami do mego kraju, i nagle w moich uszach zabrzmiały megafony chadeckiej propagandy, pełnej kłamstw rzucanych na demokrację ludową, usłyszałem jak gdyby echo tej posępnej muzyki, która towarzyszyła oszczerstwom, głoszonym na wystawie Aldila w Rzymie, podczas kampanii wyborczej. Tu w Warszawie mówiono mi z entuzjazmem o swoim życiu, o tym wszystkim, co robi nowe, ludowe państwo dla mas pracujących. I to mieli być ci niewolnicy w kajdanach, o których słyszeliśmy w chadeckich oświadczeniach! A więc to są ci ludzie, którzy chcą rzekomo wojny! Jakże śmieszne są te wszystkie wysiłki reakcyjnej prasy włoskiej.

Setki osób zza granicy, które tak samo jak ja oglądały Warszawę, po po-



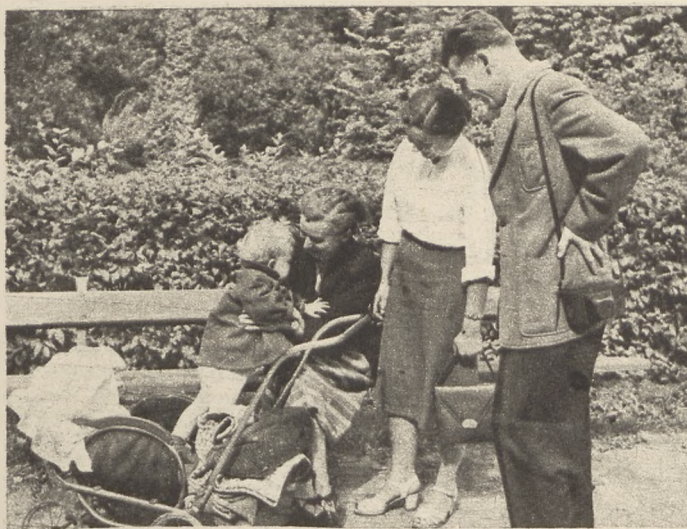
tym smutnym zjawiskiem, które występuje we wszystkich krajach kapitalistycznych



Benedetto Apolloni, młody Włoch, który po wojnie wyemigrował w poszukiwaniu pracy. Znalazł ją w Warszawie.



Dzieci polskie nigdy nie zapomną, że żołnierz radziecki umierał w walce przeciwko faszyzmowi, o wyzwolenie ich kraju...



Ta para studentów zatrzymała się, aby pobawić się z dzieckiem. Gdy ukończą studia, czeka ich praca, założą własny dom



Kufel piwa podczas spaceru po pracy. Dziewczęta warszawskie wnoszą poważny wkład w budowę swojego miasta.

Na Placu Konstytucji podziwiałem piękną architekturę, sklepy i restauracje wszelkich rodzajów. Z wnętrza sklepu z wyrobami ludowymi widać domy wyposażone w najnowocześniejsze urządzenia. Mieszkają w nich robotnicy, uczeni, artyści...

RSZAWĘ

wrocie do swoich krajów opowiedzą prawdę.

Widziałem w Warszawie rojne ulice, sklepy i kawiarnie wypełnione tłumami ludzi, nowe domy, wzniesione w myśl zasad nowoczesnej, racjonalnej architektury, parki, w których bawiły się dzieci, studentów, którzy przechadzali się tam po wykładach. Odwiedziłem mieszkania robotnicze w nowych domach, wstępowałem do kościołów, gdzie wierzący modlili się w spokoju. Jak gdyby w bajkowym śnie siedłem Rynkiem Starego Miasta, odbudowanym całkowicie w dawnym stylu architektonicznym. Był to jeden z najpiękniejszych placów, jakie kiedykolwiek widziałem.

Oglądałem to wszystko i jeszcze wiele innych rzeczy, a moja myśl nieustannie powracała do Włoch: do głodujących dzieci, wałęsających się po ulicach Południa, do smutnych matek, które nie mają czym wyżywić swoich małości, do studentów porzucających uczelnie z braku odpowiednich środków utrzymania, do nędznych baraków, gdzie mieszkają włoscy robotnicy — wreszcie do tej kłamliwej propagandy Watykanu i Chrześcijańskiej Demokracji o nieistniejącej jakoby w Polsce Ludowej wolności religii.

Wywiozę z Warszawy niezatarte, drogie wspomnienia, pamiętać będę muzykę maszyn budujących socjalizm. Zawiozę do kraju pozdrowienia od ludzi walczących o pokój.



NIEWYDANA KSIĄŻKA

ARTUR MIĘDZYRZECKI

JAKA zajmująca byłaby to książka i jak wiele mia-
łaby wznowień! Nie trzeba przecież zbyt bujnej
fantazji, żeby wyobrazić sobie tom w czerwonej
płóciennnej oprawie, z dużymi złotymi literami tytułu:

WARSZAWA

TEKST:

STANISŁAW WITKIEWICZ

RYUNKI:

ALEKSANDER GIERYMSKI

WŁADYSŁAW PODKOWIŃSKI

JÓZEF PANKIEWICZ

Towarzystwo niecodzienne i książka niecodzienna, któż by jej nie chciał mieć na swojej półce! Nie jest to jednak możliwe. Książka nie ukazała się nigdy, choć powinna była wyjść z druku w latach 1884 — 1885. Zaprojektowana została w roku 1882. Witkiewicz pozo-
stał o tym dość dokładną relację w monografii o Gierymskim; wertując „Kłosa” i „Wędrowca” z owych lat natrafić można na niewątpliwe ślady zamierzenia. W Miesiącu Budowy Warszawy warto o nim przypom-
nieć nie tylko ze względu na frapujący temat malar-
skiego warsawianum. W świetle tamtych odległych wy-
darzeń praca plastyków, którzy malowali niedawno
freski na kamienicach Starego Miasta, nabiera zna-
czenia prawdziwie symbolicznego. Podobnie zresztą jak
budowa każdego z nowych domów Warszawy, na które
niekiedy narzekamy, złoścąc się słusznie na niedbal-
stwo stolarza, niesumienność posadzkacza, albo, co gor-
sza, na niefortunny pomysł pozbawionego wyobraźni
architekta, ale które są przecież w końcu i widne, i wy-
godne, i pełne słońca. Wątpliwości być tu nie może,
każdy z nas widzi to na własne oczy, zjawisko jest wy-
raźne i dostrzegalne. Z dnia na dzień, zmiatające gąsien-
icami buldożerów, odrzucone łopatami koparek, zmu-
szane do odwrotu naporem żaląg MDM-u i Mirowa, co-
fa się miasto czyszczowej rudery i kosmopolitycznej
gipsowej tandety. Obok wojennych zgłiszcz zostają po
nim dziwolagi budowlane, godne muzeum osobliwości,
nagle odsłonięta studnia podwórza ukazuje tradycyj-
ny melancholijny rynsztok; tuż przy nim nie mniej tra-
dycyjny ospowaty murek wyznacza paradoksalną gra-
nicę posesji, podobnie jak pobliski śmietnik — miejsce
minionych uczt much i myszy, a poprzeczna deska na
stojaku — opuszczone stanowisko ogniowe trzepaczek,
spod których pudy kurzu wznosiły się ku otwartym
oknom.

Wśród takich społecznych i malarskich realiów to-
czyły się dzieje niewydanej książki Gierymskiego
i Witkiewicza. Powrócili z Monachium do Warszawy
w roku 1882, zastali wiele przemian, niemało rzeczy,
które uderzały nowością i krzyżującym kontrastem.
W roku ich powrotu przeprowadzono w Warszawie
pierwszy spis ludności; gdyby byli ekonomistami od-
czytaliby w nowym składzie społecznym mieszkańców
miasta znak zmienionych czasów. Robotników było
o 60 procent więcej niż dziesięć lat temu, 10.500 drob-
nych warsztatów Królestwa z roku 1845 zmieniło się
w 3000 kapitalistycznych fabryk z lat dziewięćdziesią-
tych; u Ortweina i Lilpoppa, gdzie dziewczęta i wy-
rostki pracowały za jedną czwartą normalnej płacy,
stosowano już na wielką skalę wyzysk małoletnich pra-
cowników; podobne stosunki panowały w fabrykach
jedwabiu i wstążek na Marszałkowskiej i Mokrotow-
skiej.

Byli w Warszawie ludzie, którzy doskonale orien-
towali się w wymowie liczb i dobrze wiedzieli, co są-
dzić o artykule „Kłosa”, stwierdzającym z okazji
spisu, że „pomiędzy ludźmi pracującymi niezależnie
znajdują się osoby obojga płci w wieku do 12 lat”,
że na 382.964 osoby ludności „naliczono kapitalistów
i właścicieli domów z rodzinami — 15.087 osób”
że wreszcie „nie podobna ściśle odgraniczyć rzemiosło od
zajęć fabrycznych, albowiem z rozwojem techniki nie-
które zajęcia, dawniej jako rzemiosło prowadzone, na-
brały obecnie charakteru produkcji na wielką
skalę”, że „przeobrażeniu takiemu uległ cech piwo-
warów, garbarzy, po części szewców, ślusarzy, sto-
larzy, lakierników itp.”.

Przyczyny tych zjawisk znał szczególnie wyborne
człowiek, który, podobnie jak Witkiewicz i Gierymski,
również w roku 1882 powrócił zza granicy do War-
szawy, ale nie z Monachium, tylko z Genewy, i w zgola
różnych okolicznościach. Człowiekiem tym był Ludwik
Waryński. Założyciel „Wielkiego Proletariatu” wracał
jednak do Warszawy robotniczej, na ubogie przedmie-
ścia i najczarniejsze z ulic, tam, gdzie życie było trudne
i ciężkie, ale zarazem najbardziej istotne dla przys-
łości nie tylko warsztatów Kolei Warszawsko-Wiedeń-
skiej, w których w kwietniu 1882 rozpoczął się jeden
z pierwszych strajków warszawskich, ale i dla przysz-
łych losów miasta i kraju.

„My, socjaliści, w imię Waszych potrzeb i intere-
sów walkę podjęliśmy i gotujemy zgubę i zagładę
wszystkiemu, co ciemniży pracujący lud... W chwili
rewolucji my będziemy z Wami, poznać nas, bo my
jedni mówić będziemy:

„Ziemia należeć winna do tych, którzy ją orzą.

„Fabryki do tych, którzy w nich pracują.

„Do walki więc stawajcie, a tym prędsze będzie na-
sze wspólne nad wrogami zwycięstwo!”.

Ta odezwa, wydana w Warszawie przez Komitet Cen-
tralny Socjalno-Rewolucyjnej Partii, nosiła datę 24
czerwca 1883 i napis u dołu: „W drukarni partii „Pro-
letariat”. Była to drukarnia nielegalna, w dwa mie-
siące później wyszedł w niej pierwszy numer central-
nego organu partii; jeden z lokali, w których składano
pismo, mieścił się na Nowolipkach.

Witkiewicz i Gierymski przybywali do innych dziel-
nic miasta. I oni zapuszczali się, co prawda, w zaufki
przedmieść, i oni szli nierzadko za Żelazną Bramę, w kie-
runku muranowskiej rogatki, szkiecowali tam, rysow-

wali, poznawali dni codzienne warsztatów i targowisk,
ale nie tam byli przecież odbiorcy ich sztuki. Z teką
rysunków wracał Gierymski do śródmieścia w spra-
wie wystawienia albo sprzedaży obrazu, droga z jego
pokoju na Żurawie prowadziła nieodmiennie w stronę
Krakowskiego Przedmieścia, Nowego Świata i Placu
Trzech Krzyży, na korso warszawskie, do któregoś
z przedstawicieli klasy, liczącej wówczas „z rodzinami
15.087 osób”. Przybyłszy z Monachium bardzo szybko
pozbyli się też jakichkolwiek złudzeń co do roli, jaką
im wyznaczyły osoby z rodzinami, wędrow-
ka po mieście uczyła szybko i dokładnie. O s o b y
przemawiać zwykły, co prawda, w imieniu całego spo-
łeczeństwa, ale stanowiły przecież, jak pisał Witkie-
wicz, tylko „przednią ścianę i znak tej fatalnej budy,
jaką przywykliśmy nazywać społecznym gmachem.
Ludzie ci, naczelnicy i firmowi, w rzeczywistości mieli
nieraz tyle wspólnego z głębią społecznego życia, co
płynący po rzece filister w łódce, ubranej dziecięciną
chorągiewką, ma wspólnego z żyjącymi w głębi wód
jesiotrami...”.

Naczelnicy i firmowi odwrócili się też z obawą od re-
alistycznych zamierzeń Gierymskiego i Witkiewicza,
dostarczając w nich świat, którego istnienie świadomie
i celowo poddawali w wątpliwość, przerażającą głębię
zjawisk, które na próżno starali się wygodnie interpre-
tować usłudze publicystyki i pompierstwa*) krytycy. Były
to przecież czasy, w których Dygasiński dostawał ciągi
od firmowej krytyki za zamieszczenie w wypisach dla
młodzieży artykułu o Galileuszu („w wypisach tych
dział biblijny — donosił „Tygodnik Powszechny” —
chyba dla zamydlenia oczu wstawiono”), Sygietyński —
za felieton o ostatnich chwilach Wiktora Hugo, Wit-
kiewicz zaś za to, że „lubuje się w tematach brzyd-
kich, w chłopach z wyrazem przynębnienia na obliczu,
w koniach o bokach strasznie wytartych itd”. To wy-
stąpienie recenzenta „Kłosa”, Struwego, było częścią
panującego klimatu moralnego, symbolizowa-
nego przez czyszczową kamienicę, bankowy safes,
a również mitologiczne popisy na wystawach w „Za-
chęcie” i daremną walkę znakomitego malarza-realisty
Gierymskiego o miejsce w warszawskim, zmieniającym
się z roku na rok, śródmieściu.

Miasto przeobrażało się szybko, pod względem ar-
chitektonicznym stawało się coraz brzydsze, proces in-
wazji kapitalistycznej rudery trwał już dość długo.
Dla warszawskiego zamierzania Gierymskiego i Witkie-



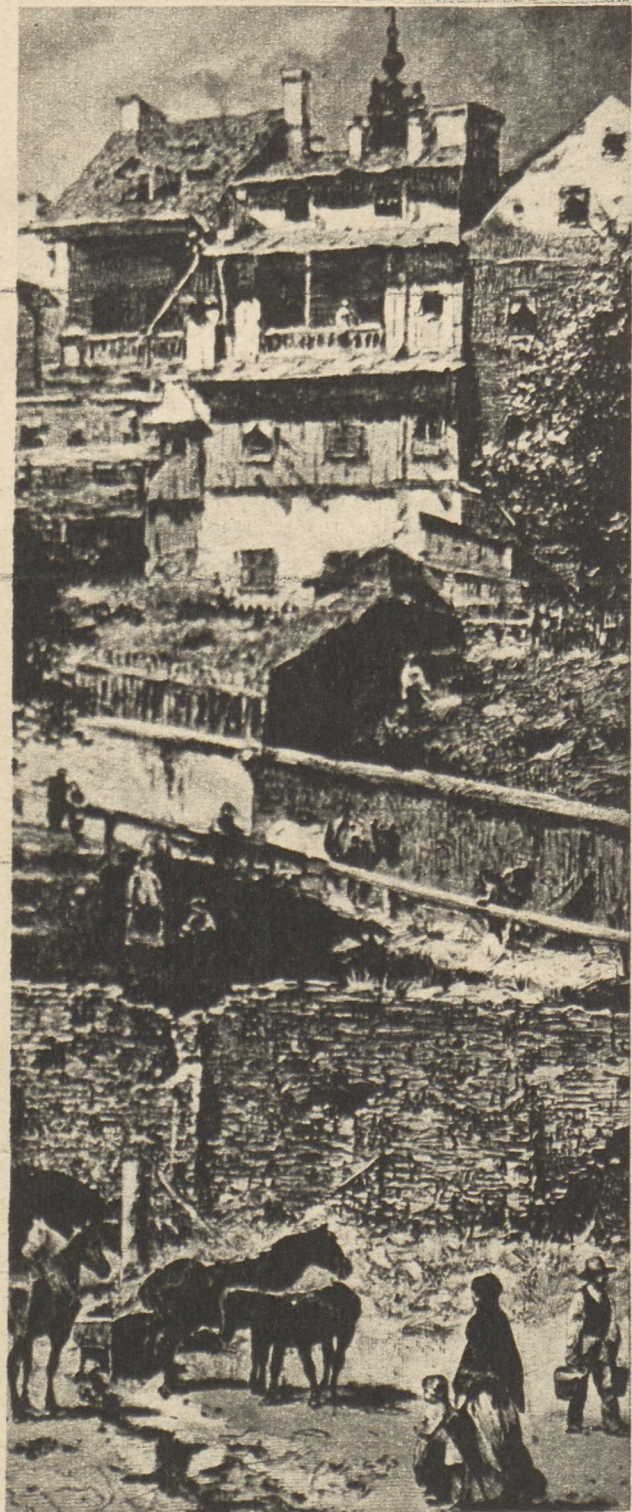
„Wędrowiec” 1884. Artykuł o warszawskim targowisku
z rysunkiem St. Witkiewicza: „Szczury”.

wicza sprawa to bardzo ważna, malarze zareagowali
przede wszystkim na uderzające kontrasty architekto-
niczne; to, co napisał później o ówczesnej Warszawie
Witkiewicz, wiąże się z niejedną literacką relacją, taką
na przykład, jak początek powieści Kraszewskiego
„Dzieci Starej Warszawy”:

„(Kamienice) nowe podobne są do eleganów salono-
wych, jeden w drugiego gdyby zza szyby od fryzjera
pobranym... Na kamienicy... jeżeli co stanie dla ozdoby,
to chyba goły Apolo, z którym rzeźbiarz nie wiedział
co począć; kupiony tano, ni przypiął ni przytalał ucze-
pionem na górze, choć właściciel gmachu ani z Apolli-
nem, ani z muzami żadnych nigdy nie miał stosun-
ków...”.

Później Wiktor Gomulicki zaalarmuje w przedmowie
do „Opowiadań o starej Warszawie”:

*) pompierstwo — związane z ówczesnie obowiązującą w ma-
larstwie konwencją akademicką, bezzasadną i oderwaną od
życia.



Al. Gierymski: „Dom obok Zamku” („Tygodnik Pow-
szechny” 1882).



W. Podkowiński: „Piwiarnia“ (Kłosy 1885).



S. Masłowski: „Sprzedaż chleba za Żelazną Bramą“ („Wędrowiec“ 1884)

„Dziś (Warszawa) pociągnięta na całym prawie obszarze wszech europejskim, wielkomięjskim pokostem, z przerażającą prędkością traci swą zewnętrzną odrębność. Reszta tej odrębności skupiła się na małej przestrzeni dzielnicy staromiejskiej, lecz i stamtąd wygania ją tak zwana „cywilizacja“, pod której miano podszycują się u nas nierzadko: bezmyślny popęd niszczyielski oraz estetyczne i archeologiczne nieuctwo...”

„Nie zliczyć, ile już, za pamięci piszącego te słowa, zmarnowano u nas pamiątek warszawskich, ile stylowo odrębnych gmachów przerobiono na pospolite, wszelkiego wyrazu estetycznego pozbawione kamienice... ilu wreszcie zabytkom przez niedbalstwo, nieświadomość lub obojętność zmarnieć nędznie pozwolono!”

Pisał dalej Gomulicki, z okazji wspomnienia o Marywilu, że lud warszawski ma na szczęście o wiele lepszą pamięć niż właściciele czynszowych kamienic, mówił o ludowym przywiązaniu do zabytków, przeciwstawiał je niszczyielskiej działalności kamieniczników, wymieniał dwuwiekową ulicę Wąską, którą „niedawno Warszawa straciła“, i zabytkowy „Dom pod Gwiazdą“ na rogu Senatorskiej i Koziwej, który „padł niedawno pod mularskim oskarżeniem“, i wiele innych jeszcze „najstarszych pamiątek naszego miasta“, zagrożonych albo już wyburzonych.

W czasach warszawskich Witkiewicza i Gieryskiego Adolf Dygasiński pisał swój cykl „Tajemnice Warszawy“. Z cyklu tego, a również i z powieści „Na warszawskim bruku“, odtworzyć można żywą monografię dzielnic miasta, przedstawiających kontrasty coraz bardziej jaskrawe i wymowne, nie tylko już pod względem urbanistycznym. Jeden i ten sam warszawski wieczór oznaczał więc na przykład: na ulicy Piekarskiej, w tajemniczym knajpie „Pod Żurawiem“, dwie duże izby, które „roili się głodnymi ludźmi“; w Hotelu Angielskim — „bardzo wykwinatną wieczerzę“, którą „spożywa kilku ludzi arystokratycznego pochodzenia“; w jednym z domów ulicy Wilczej — „nieduży pokój na poddaszu, gdzie mieszkało pięciu studentów uniwersytetu“, którzy „wszyscy razem wzięci nie mieli grosza w kieszeni“, albo wreszcie szynk przy ulicy Żelaznej, gdzie zbiera się towarzystwo spod ciemnej gwiazdy, liczące w swoim gronie i pospolitych kryminalistów, i zawodowych prowokatorów w służbie osób naczelnich i firmowych.

Zmagający się z pompierskimi recenzjami i borykający się w walce o swoją młodą sztukę współpracownicy Dygasińskiego z „Wędrowca“ znali Warszawę równie dobrze jak on. Poznawali ją inaczej, co prawda, niż bojownicy „Proletariatu“, nie wszystko umieli sobie wytłumaczyć, nie mieli, do końca niestety, busoli, która prowadziłaby ich w burzliwej miejskiej przestrzeni, ich szanse zetknięcia się z Waryńskim były niewielkie, w półtorarocznym okresie przed jego ponownym aresztowaniem nie nastąpiła jeszcze wielka bitwa o ich malarstwo, a jednak książka, którą postanowili wydać, miałyby wymowę zdecydowanego protestu społecznego. Był to zresztą główny powód, dla którego nie ukazała się ona na księgarskich półkach. Byłby to przecież prawdziwy obraz miasta, w którym nędza przedmiem oskarżałaby wykwinatne magazyny Krakowskiego Przedmieścia, a galeria ludzi, którym chleba brakuje i którym dlatego właśnie, jak pisał Prus, „gustami estetycznymi delectować się nie wolno“ — stanowiłaby jednoznaczny odpowiedź na retoryczne wątpliwości oficjalnej krytyki. I byłaby to jednocześnie obrona piękna Warszawy przed czynszowym najazdem, obrona tych właśnie architektonicznych wartości, które budowniczo wie nową stolicę przywracającą dziś swojemu miastu.

„Miałem z dawnych lat — pisał Witkiewicz o albumie zamierzonym w latach osiemdziesiątych — plan wydania książki o Warszawie, Warszawie żywej, obecnej, tak jak ona w starych murach drga nowym życiem, jak ogarnia sąsiadnie pola ewymi ohydliwymi kamienicami; jak cierpi i jak się cieszy, z całą szczytnością i całym plugastwem, jakie w niej istnieje: od poddaszy do piwnic, od pałaców do dziur w wiślanym brzegach, w których gnieje dziedzica, zjadana przez wszy i choroby ludność. Słowem... wydobyć na jaw tych krań, graniczących z sobą, a nic o sobie nie wiedzących; ukazania w słowie i obrazie tych dziwnych sprzeczności zjawisk, tych szczytów myśli i uczucia, i ciemnych przepaści zdziwienia i upodlenia. Pokazania ludzi żywych wszelkiego rodzaju, od bogaczy, którym się z przeje-

dzienia strawa wraca na brzegi ust, do nędzarzy, którzy wyszukują resztki nieogrzyszonych kości po śmietnikach... do biednych kobiet, sponiewieranych w błocie ulicznym przez niemilosiernie i złośliwe stosowanie praw społecznej etyki. Słowem, ukazanie Warszawy żywej... tak czasem szczytnej i wzniosłej i tak nieraz płaskiej i pospolitej...”

„Na przykład: wziąć ogłoszenie Biura o nędzy wyjątkowej i pójść od piwnicy do piwnicy, od nory do nory, i pokazać jak to wygląda: „Wyrobnicza, chora obłożnie, dzieci drobnych piecioro, mąż w szpitalu dla obłąkanych...“ Byłoby czym zatargać najgrubsze nerwy i poruszyć najbardziej zaplany egotyzm sumienia. Wydobyc na wierzch to życie ludzi nieznanych, drobnych kółek, bez których życie obłąkanej maszyny miejskiej nie mogłoby się ruszać. Kto sobie zdał kiedy sprawę, co znaczą słowa: „Latarnie miejskie palą się od godziny 5 minut 30 do 7 rano“? Kto kiedy zastanowił się, jak się one zapalają, czyja ręka i kiedy wytarła to szkło i jakim cudem o godzinie 5 minut 30 nagle rozpała się tysiące płomyków w długich szeregach... A warszawskie targowisko, a Wisła, a konie — słowem wszystko. W „Wędrowcu“ i „Kłosach“ pozostały rozmaite próby urzeczywistnienia tego planu, zrobienia tego obrazu żywej Warszawy, ale tylko próby. Podkowiński rysował i latarnika, rozpraszającego mroki wieczorne, i stróża, i śmieciarke; Gieryski rysował też śmieciarke, zresztą miał on ogromny zbiór szkiców i pomysłów do zapełnienia setek stron takiej książki: ja próbowałem opisywać i rysować konie, targowisko za „Żelazną Bramą“, ale „Wędrowiec“ upadł, a z „Kłosów“ po półrocznych walkach usunąłem się.

„Zanim to jeszcze nastąpiło, mieliśmy zamiar z Gieryskim opracować Dobroczynność Warszawską. Poszliśmy więc do Towarzystwa Dobroczynności i tam, oprowadzani przez siostrę miłosierdzia, poznaliśmy... wszystkie rodzaje biedy, wszystko rodzaju starzyzny ludzkiej, ciał zeszarych, dusz wynędzniałych... Był to materiał bogaty, z którego, oprócz ilustracji do zamierzonej pracy, powstałaby na pewno niejeden obraz Gieryskiego. Niestety! Nic z tego nie zrobiliśmy. Zerwanie z „Kłosami“, ostateczne zniechęcenie do podobnych stanowisk, przeświadczenie, że takiej maszyny w tych warunkach wydawniczych ruszyć nie podobna, w końcu moja choroba załamała ostatecznie tę krótką chwilę wspólnych prac i dążeń. Rozjechał się...”

Takie były dzieje niewydanej książki. Trzeba je było umiejscowić w ówczesnych stosunkach i niemało poświęcić im czasu, żeby należycie zrozumieć przyczyny Witkiewiczowskiego „niestety!“ i lakoniczną jego wzmiankę o zniechęceniu i warunkach wydawniczych.

„W tych czasach, kiedy Gieryski i wielu innych usiłowało żyć w kraju — wyjaśnia zresztą sam Witkiewicz — skorupa była sucha, brudna i plugawa, bardziej może niż kiedy, i kto ją tylko znał, kto nie wiedział, co się dzieje w głębi, ten pluł i wzdrygał się ze wstrętu lub tonął w rozpacz... Zdawało się, że ideałem społecznym jest gruboskórna istota, ograniczona, upasiona, mająca pełne spichrze i kieszenie, najeżona egoizmem, istota, która nie chce ani czasu, ani bogactw, ani pracy — marnować na „marzenia“, na żaden cel umysłowy nie mający bezpośredniego wpływu na pomnożenie groszy i złotych, na zbytek idealny... Reforma społeczna przyniosła sporo kapitałów za wykup ziemi, przemysł wzrastał gwałtownie, rolnictwo cieszyło się wysokimi cenami na produkty; bogactwo tych właśnie warstw, do których należało wołać: — Nie bądźcie barbarzyńcami! — wzrastało — ale sztuki nie potrzebował nikt... Kto by widział ówczesną Warszawę z jej wspaniałymi sklepami... ten by się zdumiał, dowiedziawszy się, co się w tym samym czasie działo ze sztuką. Były to przecież czasy... kiedy w Warszawie dwóch pierwszorzędnym malarzy zjadała nędza paraliżująca wszelkie wysiłki coraz liczniejszej garstki ludzi, którzy się rzucali w świat sztuki... W owych to czasach Chełmońskiemu, który miał sześć obrazów na wystawie, zarząd Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych nie chciał dać na ewikcję* tych obrazów 50 rubli pożyczki. W owych to czasach jeden z niestychanie wytwornych kolorystów polskich był płacony za swoje obrazy w naturze, to jest starymi majtkami i surduta-mi. Zapach, energia, siła talentu — wszystko się rozbijało o nie dające się naruszyć fatalne stosunki materialne, zmuszające albo do ucieczki za granicę, albo do zarabiania tandetą ilustracyjną lub obrazkową...”

Dokończenie na str. 22

*) Pod zastaw.



S. Masłowski: „Żelazna Brama“ („Wędrowiec“ 1884)



Oto aktorzy pałacowej rewolucji.
Były premier Mosaddek i gen. Zahedi

PRZEWROT W IRANIE

EDMUND BORA

20 KWIETNIA br. policja teherańska znalazła się wobec dość oryginalnego zadania — znalezienia własnego szefa — gen. Afszartusa, który zniknął bez śladu. Po sześciu dniach znaleziono jego okrutnie zmasakrowane zwłoki w miejscowości górskiej, położonej o 50 km od stolicy Iranu. Policja przystąpiła do energicznego śledztwa, które wykazało, że organizatorami, inspiratorami i wykonawcami zabójstwa są wysoko postawione osobistości Teheranu.

Pod zarzutem zabójstwa aresztowano kilku generałów, znanych z wierności wobec szacha i wrogości wobec premiera Mosaddeka. Podejrzanie padło również na syna wybitnego przywódcy religijnego, Ajatollah Kaszaniego, i przywódcę tzw. partii pracujących, dr Baghaiego. Tego ostatniego nie można było aresztować, bo jako deputowany do medżlisu — parlamentu — musiał być przedtem pozbawiony nieetykalności poselskiej. Parlament zaś, w którym zwolennicy Mosaddeka byli w mniejszości, nie kwapił się z wydaniem Baghaiego — przywódcy opozycji antymosaddekowskiej.

NA KIM OPIERAŁ SIĘ MOSADDEK

W toku dalszego śledztwa wyszło na jaw, że zabójstwo gen. Afszartusa związane było ze spiskiem, uknutym w celu obalenia rządu dr Mosaddeka. Udział dr Baghaiego i syna Kaszaniego w spisku mógł zdziwić ludzi, pamiętających, że jeszcze do niedawna zarówno Kaszani, jak dr Baghai należeli do grona osób, które razem z dr Mosaddekiem przeprowadzili nacjonalizację przemysłu naftowego. Kiedy w roku 1951 medżlis teherański jednomyślnie uchwalił ustawę o nacjonalizacji przemysłu naftowego, dr Mosaddek stał na czele tzw. frontu narodowego, luźnego zespołu ugrupowań i działaczy politycznych, wśród których wybitną rolę odgrywali właśnie wspomniani dr Baghai i Kaszani.

Jedną z głównych organizacji „frontu narodowego” była tzw. partia pracujących, której nazwa nie powinna jednak wprowadzić w błąd czytelnika. Chodzi bowiem nie o rzeczywistą partię robotniczą, ale o organizację dy-



Rząd się zmienił, ale walka ludu trwa nadal. Amerykański sojusznik, szach Reza Pahlevi, nadal drży o swój tron.

wersyjną, stworzoną w celu przeciwdziałania rewolucyjnej partii Iranu — Tudeh. Przywódcy „partii pracujących” starali się, operując demagogicznie hasłami społecznymi i antyimperialistycznymi, zyskać wpływy wśród mas robotniczych i pracującej inteligencji. Drugim przywódcą tej partii był niejaki Chalil Maleki, były członek partii Tudeh, zażarty wróg ruchu rewolucyjnego.

Z „partią pracujących” ściśle współpracował Kaszani, mający poważne wpływy wśród mas wierzących.

Osobą centralną „frontu narodowego” był dr Mosaddek, stary polityk irański, sam człowiek bardzo zamożny, który cieszył się stosunkowo dużą popularnością wśród irańskiego drobnomieszczaństwa. Tak więc „front narodowy” był zespołem różnych grup i ugrupowań, który, wysuwając postulaty narodowo-społeczne, zdołał wokół siebie zgrupować żywioły drobnomieszczańskie, inteligentkie, o całkowicie niewyklarowanych poglądach, ale wrogo ustosunkowane do ingerencji obcej w we-

wewnętrzne sprawy Iranu. „Front narodowy” korzystał również z poparcia burżuazji narodowej, kupców, przemysłowców, którzy spodziewali się, że po wypędzeniu anglo-irańskiego товариства naftowego zdołają zyskać dla siebie nieograniczone przez interesy imperializmu brytyjskiego możliwości działania.

PRZECIWKO OBU IMPERIALIZMOM

Siłą jednak zasadniczą w życiu społecznym Iranu był nie burżuazyjny „front narodowy”, ale partia Tudeh i organizacje demokratyczne, stojące na pozycjach bezwzględnej wrogości zarówno wobec imperializmu brytyjskiego, jak i amerykańskiego. Podczas gdy przywódcy „frontu narodowego” propagowali pogląd, że Iran powinien się oprzeć o imperializm amerykański w walce z imperializmem brytyjskim, irański ruch demokratyczny mobilizował coraz szersze masy ludności do walki przeciw obu imperializmom.

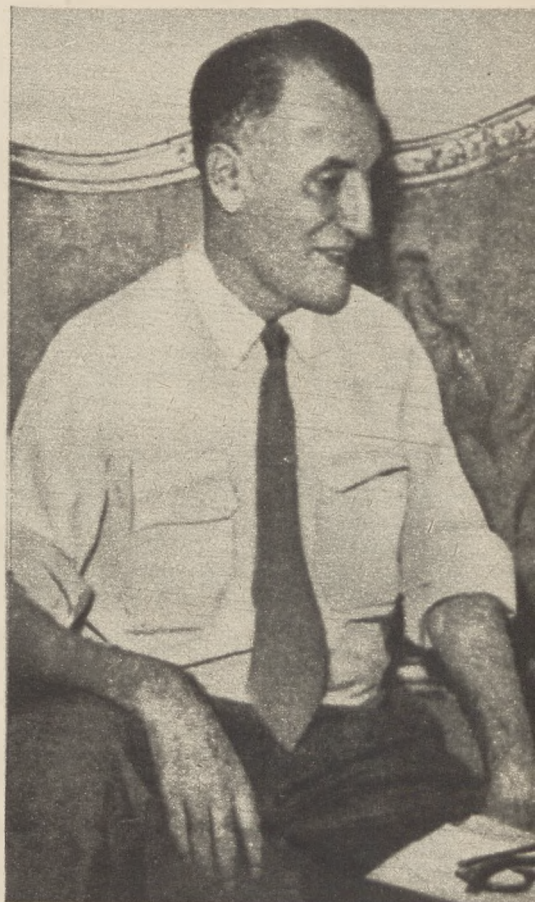
W okresie po nacjonalizacji przemysłu naftowego wpływy obozu antyimperialistycznego w Iranie coraz bardziej wzrastały, odsuwając na dalszy plan organizację „frontu narodowego”. Przywódcy „frontu narodowego” wszelkimi siłami starali się osłabić te wpływy, nie dopuszczając partii Tudeh do legalnej działalności. W więzieniach pełno było bojowników o „wolność, oskarżonych o przynależność do nielegalnej „komunistycznej partii Tudeh”. Bojówki „partii pracujących” napadały na demonstracje urządzone przez organizacje demokratyczne, demolowały lokale organizacji i redakcji pism antyimperialistycznych.

Mimo tej akcji terrorystycznej hasła całkowitego uniezależnienia Iranu od wpływów imperialistycznych, wypędzenia doradców amerykańskich z wojska i zacieśnienia współpracy ze światowym obozem demokratycznym zyskiwały coraz większy posłuch wśród ludności. Licząc się z popularnością tych haseł, przywódcy „frontu narodowego” i sam dr Mosaddek uważali za konieczne nie poddawać się całkowicie naciskowi Waszyngtonu.

Koła rządzące w Waszyngtonie z niezadowolaniem stwierdzały, że w Teheranie i Isfahanie, Tebrizie i Szirazie głos decydujący mają nie zwolennicy Mosaddeka, ale Narodowe Stowarzyszenie do Walki z Imperializmem i krajowy ruch pokoju. Bardzo wymowny był fakt, że ponad 2 miliony Irańczyków podpisały Apel o zawarcie Paktu Pokoju między pięcioma wielkimi mocarstwami. Ruch pokoju w Iranie stał się potężną siłą, która skutecznie stała na przeszkodzie amerykańskim planom wciągnięcia Iranu do bloku atlantyckiego.

AMERYKANIE POPIERAJĄ OPOZYCJĘ

W tych warunkach zaczął się kształtować amerykański plan obalenia Mosaddeka, który, zdaniem Waszyngtonu, nie dość energicznie zwalczał ruch demokratyczny. Co więcej — część działaczy „frontu narodowego”, z różnych względów osobistych i politycznych niezadowolona z Mosaddeka, zaczęła dążyć do jego obalenia. Jesienią ub. roku następuje rozłam we „froncie narodowym”. Przeciw Mosaddekowi występuje Kaszani — jako obrońca monarchii, i dr Baghai, który pociąga za sobą część „partii pracujących”. Druga część tej partii, ze wspomnianym Chalilem Ma-



Wprawdzie „rewolucja w Iranie” nie spełniła marzeń Waszyngtonu, ale ambasador amerykański w Teheranie, Henderson (na zdję-

lekim, tworzy odrębną organizację promosaddekowską, pod nazwą „Niruje-esewom” (trzecia siła).

Wybuchła zażarta walka między obu skrzydłami byłego „frontu narodowego”. Jednym z przejawów tej walki było zamordowanie zwolennika Mosaddeka — gen. Afszartusa. Pamiętać jednak trzeba, że obie strony deklarowały wrogość wobec imperializmu i konieczność utrzymania nacjonalizacji przemysłu naftowego. Opozycja antymosaddekowska, do której między innymi należał gen. Zahedi, zarzucała jednak Mosaddekowi dążenia dyktatorskie, nieudolność administracyjną i chęć obalenia monarchii. Licząc się z nastrojami w kraju opozycjoniści nie krytykowali polityki zagranicznej Mosaddeka. Ale w tym samym czasie Amerykanie, nie krępując się, dawali wyraz swej sympatii dla opozycji.

Prasa lewicowa ostrzegała Mosaddeka, że opozycja w sojuszu z dworem szacha i kołami wojskowymi przygotowuje — z wiedzą Amerykanów — zamach stanu. W związku z tym prasa lewicowa nieustannie domagała się przeprowadzenia generalnej czystki aparatu wojskowego. Mosaddek częściowo usunął z wojska wrogich sobie oficerów. Nie chciał jednak radykalnie zmienić sytuacji w wojsku, musiałby bowiem w takim wypadku oprzeć się na demokratycznie usposobionych oficerach, których w Iranie nie brak.

ZAMACH. STANU

W sierpniu br. Mosaddek postanawia rozwiązać parlament, w którym większość mieli jego przeciwnicy. Dla uzyskania podstawy prawnej przeprowadza, wbrew stanowisku szacha, referendum. Referendum wypowiedziało się olbrzymią większością za rozwiązaniem medżlisu. Fakt, że Mosaddek uzyskał większość w referendum, zaniepokoił szacha, reakcyjne koła wojskowe i Amerykanów, szczególnie z tego powodu, że kampania referendum przybrała charakter wielkiej demokratycznej akcji masowej pod hasłami republikańskimi.

Mosaddek nie zdecydował się jednak w krytycznym momencie szukać oparcia w masach ludowych. Grupy polityczne bezpośrednio popierające go kierowane były — jak już wskazyaliśmy — przez przywódców wrogo ustosunkowanych do ruchu robotniczego.

Stąd też, gdy bezpośrednio po zakończeniu referendum wystąpienie dziesiątków tysięcy Irańczyków, którzy wyszli na ulice Teheranu, pokrzyżowało zamach wojskowy, władze mosaddekowskie kazały policji strzelać do tłumu, demonstrującego przeciw szachowi i domagającego się ogłoszenia republiki.

Po upadku Mosaddeka nic się nie zmieniło. Nowy rząd nadal stosuje policyjny terror wobec mas ludowych, walczących o prawdziwą niepodległość i pokój.





ciu po prawej, w rozmowie z premierem Zahedi natychmiast zaofiarował, w imieniu swego rządu wydatną pomoc dolarową.

W rezultacie zamachowcy podejmują następną próbę zamachu i w drugiej połowie sierpnia Mosaddek zostaje obalony, a władzę obejmuje — jako premier — gen. Zahedi. Prasa amerykańska przyjęła z dużą radością przyjsięcie Zahediego do władzy. Dla charakterystyki powtórzmy za Reuterem wiadomość, że w 1942 roku gen. Zahedi został aresztowany, jako komendant garnizonu wojskowego w Isfahanie, pod zarzutem współpracy ze sztabem hitlerowskim i przygotowania gruntu dla desantu hitlerowskiego.

TUDEH — ZNACZY LUD

Zadowolenie Amerykanów jest jednak tylko częściowo usprawiedliwione. Prawdą jest, że mieli powody do niezadowolenia z Mosaddeka, ponieważ za jego rządów, co prawda wbrew jego woli, wzrosły ogromnie siły lewicy. Ale zwycięstwo Zahediego nie przyniosło wcale rozbitcia obozu lewicowego, który zachował trzon sił politycznych i organizacyjnych. Cios, który w dniu zamachu wojskowego był głównie wymierzony w lewicę irańską, trafił znowu, wbrew oczywiście życzeniom organizatorów spisku, silniej w osłabione grupy promosaddekowskie niż w obóz demokratyczny. Amerykanie, zorientowawszy się szybko w sytuacji, zaczęli — za pośrednictwem podległych sobie organizacji — inspirować akcję pogromową przeciw organizacjom demokratycznym.

Jednakże wpływy irańskiej partii ludowej sięgają tak głęboko do różnych sfer społeczeństwa, że trudno jest uwierzyć w sukces planów amerykańskich. Co więcej — gen. Zahedi nie może nawet w pełni liczyć na te grupy polityczne, które pomogły mu dojść do władzy. Kaszani — na przykład — zagroził, że premiera, który wpuścił z powrotem do kraju Anglo-Irańskie Towarzystwo Naftowe, spotka los gen. Razmari. (Razmari kilka lat temu sprzeciwiał się nacjonalizacji przemysłu naftowego i został zamordowany). Ukazały się również, krytyczne wobec gen. Zahedi, wypowiedzi innych przywódców tej części „frontu narodowego“, która opuściła Mosaddeka. Wspomniani przywódcy muszą liczyć się z prawdziwymi nastrojami społeczeństwa irańskiego, które podzielają nawet ich zwolennicy. Toteż burżuazja irańska głosi kłamliwie, że sam szach jest zwolennikiem niezależności gospodarczej i politycznej kraju. Należy więc przypuszczać, że radość amerykańska okaże się przedwczesna. Mosaddek wprawdzie odszedł, ale został lud irański.

A lud — znaczy po persku Tudeh.

POSTĘPOWA GRAFIKA SZWECJI i DANII

W Sztokholmie wyszedł z druku album, opracowany przez młodych, postępowych grafików i poetów skandynawskich, pochodzących z Danii i Szwecji. Ich wiersze i rysunki mówią o życiu mas ludowych w tych krajach. Autorom albumu nie jest obce, co dotyczy życia i pracy duńskich oraz szwedzkich robotników i chłopów, którzy w walce o dobrobyt i pokój przeciwstawiają się polityce militaryzacyjnej swych rządów. Z albumu tego reprodukowujemy kilka najbardziej charakterystycznych drzeworytów, ukazujących w sposób realistyczny życie mas ludowych w Danii i Szwecji.



Egil Malmsten: Dyskusja w miejsceu pracy.



Knud Cristenssen: Bezrobotny.



Victor Brockdorf: Demonstracja bezrobotnych.



Flemming Kofoed: Rodzina.



Svenolov Ehren: Lenin.



Hilde Rubenstein: Ofiara wojny.



Johannes Malgaard: Robotnicy i chłopi.



Henning Damgard-Sørensen: Młodzież.



Wnętrze pokoju, w którym Lew Tołstoj stworzył największe dzieła swego życia.



Lew Tołstoj w okresie studiów.



W Jasnej Polanie w parku przy skromnym.

WIELKI PIELGRZYM

Napisał: ANATOL STERN

MOŻNA BY zapisać ogromną bibliotekę dziełami, napisanymi o Lwie Tołstoju. Największe umysły, najwspanialszy artyści na przestrzeni całego wieku entuzjastycznie się tym niezwykłym zjawiskiem, które nosi nazwę Lew Tołstoj. Flaubert, przeczytawszy „Wojnę i pokój”, zawołał z uniesieniem: „To Szekspir!” Galsworthy uważał to dzieło za „największe spośród wszystkich, jakie zostały kiedykolwiek napisane”. Również i nasi pisarze zrozumieli wielkość tołstojowskiej twórczości. Z okazji osiemdziesiątej rocznicy urodzin pisarza, w r. 1908, Sienkiewicz stwierdził: „Przez Tołstoja przemówiła zbiorowa dusza narodu rosyjskiego...”. Pięknie wyraziła swe uczucia dla twórczości autora „Zmartwychwstania” Eliza Orzeszkowa: „Wielkie umysły kierują światem, ale tylko wielkie serca ocalają świat”. Kilkakrotnie pisał o Tołstoju Prus, zawsze z niezmiennym entuzjazmem.

* * *

Lew Nikolajewicz Tołstoj urodził się 28 sierpnia 1828 r., jako potomek starego arystokratycznego rodu. Jako dziecko,

mógłby więc jeszcze oglądać żywego Puszkina, pisarza, którego tak wielbił. Przyszedł na świat w Jasnej Polanie, gdzie też spędził większą część swego długiego żywota. W trylogii, poświęconej latom dziecięcym i młodzieńczym Nikołenki Irtieniewa, opisuje samego siebie. Obok „Wyznań” Rousseau jest to najbardziej bodaj przejmująca spowiedź młodości, jaką zna literatura. Widzimy tu chłopca, potem młodzieńca niezwykle przewrażliwionego, w którym zachodzi głęboki proces krystalizowania się poglądu na świat. Zagadnienia pedagogiczne, zagadnienia wychowania będą już odąd gorąco interesowały go przez całe życie, a bunt przeciwko wszelkiemu gwałtowi będzie już odąd narastał we wszystkich jego dziełach.

W czasie studiów na uniwersytecie kazańskim Tołstoj stał się zwolennikiem rewolucyjnych idei Radiszczewa i dekabrystów. W pamiętniku jego czytamy: „W ojczyźnie naszej rolnictwo i przemysł nie rozkwitną tak długo, jak długo będzie istniało niewolnictwo”.

Przez cztery prawie lata (1851—1855), służył w wojsku, z początku na Kaukazie, potem uczestniczył w bohaterskiej obronie Sewastopola.

Napisana przezeń na Kaukazie trylogia i opowiadania wojenne zyskują mu od razu sławę jednego z najwybitniejszych pisarzy rosyjskich. Tołstoj, którego słowo było nieodłączne od czynu i miało dlań tylko wówczas wartość, gdy zostało potwierdzone czynem, rozpoczyna w tym okresie swoją walkę z ciemnotą od zajęć szkolnych z dziećmi w Jasnej Polanie. Był to rok 1859, ale jeszcze w piętnaście lat później zajmuje się tym samym i pisze: „...kiedy wchodzę do szkoły i widzę ten tłum oberwanych, brudnych, wychudłych dzieci... nagle nawiedza mnie lęk, przerażenie w rodzaju tego, które odczułbym na widok tonących ludzi. Ach, Boże mój! Jakby ich wyciągnąć, jednych wcześniej, drugich później, ale wyciągnąć!... Pragnę oświaty dla ludu w tym celu tylko, aby uratować tych, tonących tam Puszkina, Lomonosowa... A od

nich aż mrowi się w każdej szkole”. Wyjeżdżając za granicę również interesował się sprawami wychowania. W Londynie wysłuchał odczytu wygłoszonego na ten temat przez Dickensa.

Przede wszystkim nurtuje go jednak myśl o straszliwej niesprawiedliwości społecznej, która każe milionom nędzarzy pracować po to, aby on i ludzie z jego środowiska żyli w dostatku i przepychu. Po powrocie zza granicy, pragnąc przyjąć z pomocą chłopom, uwolnionym właśnie od pańszczyzny, staje w ich obronie i często jako sędzia polubowny rozstrzyga spory pomiędzy nimi a obszarnikami, którzy wraz z bogatszym chłopstwem w dalszym ciągu krzywdzili biedotę. Równocześnie jako nauczyciel przyjmuje do jasnopolańskiej szkoły podejrzanych o „nieprawomyślność” studentów. Pociąga to za sobą dwudniową rewizję w Jasnej Polanie. Tołstoj odpowiedział na nią pełnym oburzenia listem do cesarza Aleksandra II, który sprawę rozkazał zatuszować.

Nie było takiej niesprawiedliwości, aby jej Tołstoj nie napiętnował. Podobnie jak Wolter, który stanął w obronie Callasa, a Zola — Dreyfusa, Tołstoj staje w obronie żołnierza Szybunina, oskarżonego o uderzenie maltretującego go okrutnie oficera. Interwencja pisarza nie pomogła: Szybunin został rozstrzelany. Już na krótko przed swoją śmiercią, a więc niemal po upływie półwiecza, Tołstoj pisał: „Zdarzenie to wywarło na moje życie o wiele większy wpływ, niżli wszelkie inne zdarzenia, wydające się bardziej ważnymi: powodzenie lub niepowodzenie w literaturze, nawet strata bliskich mi ludzi”.

W roku 1863 podjął Tołstoj pracę nad „Wojną i pokojem”. Praca owa trwała sześć lat. Wojna narodowa i ogromne masy ludowe, walczące z najeźdźcą, nadały powieści głęboki ton epicki i głęboki zwycięski optymizm.

Losy bohaterów tołstojowskich układały się niejednokrotnie inaczej, niż przewidywał to pisarz w początkach pracy nad powieścią, a wiele zagadnień rozdziło się dopiero pod jego piórem i domagało się namiętnie rozstrzygnięcia.

Metoda twórcza, o której mowa była wyżej, zatryumfowała w całej pełni jeszcze w dwóch następnych powieściach: „Annie Kareninie” i „Zmartwychwstaniu”. „Anna Karenina” rozrastała się w miarę jej tworzenia i stała się wreszcie szerokim obrazem ówczesnej rzeczywistości rosyjskiej. Zagadnieniem

centralnym jest ten sam motyw, który najgłębiej zawsze pasjonował Tołstoja jako pisarza — motyw miłości i śmierci. Motyw ten ukazany jest na tle rozkładu środowiska obszarniczo-urzędniczego. Miłość Anny Kareniny — to pragnienie wyrwania się z grzęzawiska, które zabija w niej wszystko co żywe. Atmosfera powieści jest głęboko pesymistyczna. Odczuwa się, że twórcę jej dręczy niepokój. Gorki opowiada, że śmierć Anny Kareniny przeżył Tołstoj tak, jak gdyby była to śmierć najbliższego mu człowieka. A jednak skazał swą bohaterkę na śmierć — gdyż innego wyjścia dla niej nie znalazł.

Co jednak jest niepowtarzalne w tej powieści — to niespotykany wówczas i nieprześcigniony dotąd w literaturze realizm psychologiczny, to, co wielki krytyk rosyjski, Czernyszewski, nazwał tołstojowską „dialektyką duszy”. Tołstoj pasjonuje zjawisko, „jak myśl, zrodzona przez pierwsze wrażenie, rodzi inne myśli, biegnie dalej, stapia marzenia z realnymi wrażeniami, marzenia o przyszłości z rozmyślaniami o tym, co się odbywa obecnie”.

Głęboka wiara Tołstoja, że tylko chłop w ówczesnym, rozdieranym sprzecznościami społeczeństwie rosyjskim może znaleźć właściwą drogę życia, doprowadza go w tym czasie do głoszenia poglądu, że jedno jest tylko wyjście z labiryntu, w którym znalazł się człowiek ówczesny: „...stworzenie nowej religii, odpowiadającej rozwojowi ludzkości, religii Chrystusa, lecz oczyszczonej od tajemniczości, religii praktycznej, nie przyrzekającej przyszłego szczęścia, lecz dającej szczerze na ziemi”. Ukazuje się teraz szczegół utworów moralno-religijnych, skierowanych przeciwko zakłamanemu oficjalnej cerkwi rosyjskiej. Stąd już jest krok tylko do wystąpienia przeciwko opierającemu się na niej ustrojowi monarchicznemu. Tołstoj zwraca się do Aleksandra III z prośbą o ułaskawienie rewolucjonistów, z których ręki padł poprzedni car (jednym z zamachowców był brat Lenina, Aleksander Ulianow). Rewolucjonistów skazano na śmierć, a szlachetny protest Tołstoja spowodował, że koła rządzące zaczęły go uważać za jednego z najmniejbezpiecznych wrogów. Jego utwory polityczno-moralne zabronione są przez cenzurę: Tołstoj drukuje więc je w Szwajcarii i Anglii, rozchodzą się jednak i po całej Rosji, zyskując sobie zwolenników.

Tołstoj głosił konieczność uproszczenia życia i przeciwstawiał się rozkła-

Chłopi z odwiedzinami u Tołstoja w Jasnej Polanie.





prostym śniadaniu. Takie było życie pisarza.



Pisarz w czasie służby wojskowej.

W 125 rocznicę urodzin Lwa Tolstoja

dowemu wpływowi cywilizacji. Na równi z pracą literacką oddaje się pracy fizycznej, tej samej, którą zajmują się chłopci. Od tej chwili nie ma bodaj takiego zakątka w świecie cywilizowanym, gdzie nie rozprawiano by gorąco o „apostole z Jasnej Polany”.

Kłeska głodu w roku 1889 wywołała niesłychanie ostry artykuł Tolstoja, drukowany za granicą, pt. „Dlaczego głodują chłopcy rosyjscy?” Prasa urzędowa określiła ten artykuł jako „propagandę najbardziej krańcowego, najbardziej rozwyzdzonego socjalizmu, przed którą błędnie nawet nasza podziemna propaganda”. Koła rządzące zaczęły poważnie myśleć o zamknięciu wielkiego pisarza w więzieniu, jednak autorytet moralny Tolstoja był tak wielki, że nie można było tego uczynić.

W tym samym roku zostało ukończono „Zmartwychwstanie”. Również i w tej genialnej powieści dał Tolstoj obraz ówczesnego społeczeństwa — od dołów do szczytów — i to z większą jeszcze bodaj siłą niż dotąd. Jednak inne już nuty zaczynają brzmieć, gdy mówi o występujących w powieści rewolucjonistach. Tolstoj pisze o nich z nieukrywaną sympatią. Postawa ta będzie już

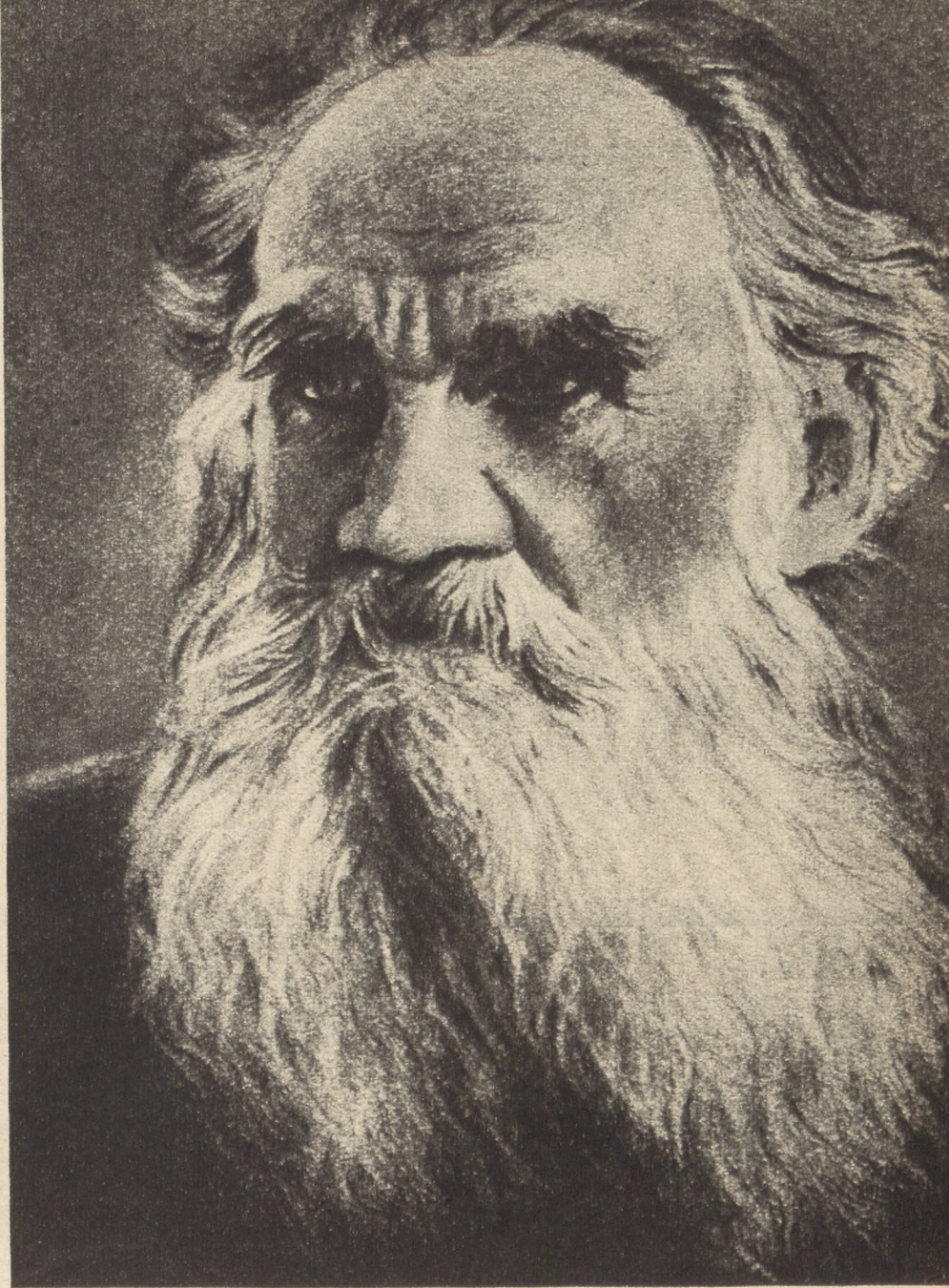
odtąd coraz bardziej wyraźna w miarę potęgowania się nastrojów rewolucyjnych w masach.

Korolenko, który widział się z Tolstojem w r. 1902 na Krymie, napisał: „Dar przejmowania się nastrojami ludowymi stanowił o najważniejszych zmianach w poglądach samego Tolstoja. W „Wojnie i pokoju”, studiując historię wojny narodowej, przejął się do tego stopnia uczuciem walki za ojczyznę, że niemal usprawiedliwiał zabijanie jeńców przez partyzantów. Potem pociągnęła go korna wiara ludu, i od niej przeszedł do pierwotnego chrześcijaństwa. Stąd jego teoria o niesprzeciwianiu się złu: lepiej zginąć, niż bronić się przy użyciu siły. Obecnie, kiedy w Rosji miały miejsce zdarzenia, będące wyrazem bezpośrednich nastrojów mas... rodziło się w nim znów coś nowego”.

To nowe wyraziło się nie tylko w sprzyjaniu rewolucjonistom, ale i w otwartym liście do Mikołaja II, „nacechowanym już nie abstrakcyjnym chrześcijańskim anarchizmem, lecz przeświadczeniem o konieczności poczynienia ustępstw ruchowi rewolucyjnemu”. „Kiedy zaś fala rewolucyjna 1905 roku opadła — pisze Korolenko — Tolstoj znów powrócił do chrześcijańskiego anarchizmu. Ale to właśnie jest dowodem, jak bardzo przemawiała przez niego zbiorowa dusza ludu i w jak ogromnej mierze był Tolstoj „zwierciadłem rewolucji rosyjskiej”, jak nazwał go Lenin. Autor „Zmartwychwstania” wierzył jednak w twórcze siły rewolucji, mówił o niej jako o „podniesieniu świadomości społecznej na wyższy szczebel”. I gdy carat wyrokami śmierci usiłował zlikwidować niedobitków rewolucji, aby tym łatwiej zniweczyć jej zdobycze, Tolstoj wybuchnął gniewnym i wzburzonym protestem w swym artykule „Nie mogę milczeć”.

Już w ostatnich miesiącach swego życia pisał: „Męczący ból z powodu świadomości ohydy swego życia pomiędzy ludźmi pracującymi tylko po to, aby z trudem móc się uratować przed śmiercią z głodu i chłodu, móc uratować siebie i swą rodzinę...” Ból ten stał się w końcu tak przejmujący, że osiemdziesięciodwuletni starzec postanowił zerwać ze swym dotychczasowym życiem i rzucić Jasną Polanę. Po drodze powaliło go zapalenie płuc — umarł 7 listopada 1910 r. na małej stacyjce Astapowo.

„Lew Tolstoj był najbardziej skomplikowanym spośród wszystkich najwybitniejszych ludzi XIX stulecia” — pisze o nim Gorki. — „Był równocześnie



Jedna z ostatnich podobizn autora „Wojny i pokoju”.

najbardziej wierny swoim uczuciom, swoim myślom, swoim przekonaniom. Ten wielki pielgrzym niejednokrotnie błdził, ale wiedział, dokąd zdąży w swej pełnej błędzeń wędrówce”. Z dała świeciło mu ogromne słońce miłości i wiary w człowieka, wiary w jego twórcze siły, w jego walkę o wyzwolenie się z mroków. Ta wiara i ta miłość przepaja wszystkie jego utwory, zarówno jego wielkie powieści ze „Zmartwychwstaniem” na czele, jak „Kozaków”, „Sonatę Kreutzerowską”, „Hadzi-Murata” i „Trzy śmierci”. Ta wiara i ta miłość dyktowała mu jego dramaty, takie jak „Potęga ciemnoty” i „Żywy trup”, i narodziła płomienne słowa jego licznych rozpraw o nędzy miejskiej i o głodujących chłopach. Ta wiara i miłość wreszcie kazała mu walczyć nieustępliwie z przemocą cerkwi i caratu, z okrucieństwem i bezduszością możnych.

W dniu jego śmierci Korolenko pisał:

„W tej chwili, w mglisty dzień, na brudnej ulicy prowincjonalnego miasta dało mi dziennik z ostatnimi wiadomościami. Gazeciarz powiedział tylko jedno słowo: umarł! Dwóch przechodniów odwróciło się do nas i zatrzymało się. Czterech nieznanych sobie ludzi wiedziało, o kim można powiedzieć to fatalne słowo, nie dodając, kto umarł. Umarł człowiek, który przykuł do siebie uczucia całego świata...”

Stałem z gazetą w ręku i dziwne wrażenie ogarnęło mą duszę: wyobrażałem sobie mimo woli, jak elektryczny prąd, otaczając ziemię, biegnie coraz dalej i swą ognistą iskrą roznosi wszędzie dwa słowa: Tolstoj umarł. I wydaje się, że śladem za tą iskrą pędzi istny cyklon przeżyć duchowych, w którym jest wszystko: ból z powodu tej straty, miłość, najwznioślejsze zagadnienia życia i śmierci, poszukiwania i wątpliwości — i przecucie wielkich postanowień”.

Prawdopodobnie ostatnie zdjęcie przed śmiercią. Na przechadzce po parku.



Widok na Jasną Polanę, gdzie Tolstoj spędził większą część życia. Stąd jego głos wstrząsał sumieniami ludzi w Rosji, sumieniami ludzi na całym świecie.



W tym tunelu wywołuje się sztuczne katastrofy kopalniane, których przebieg, śledzony przez czułe aparaty pomiarowe, daje cenny materiał do badań nad zwiększeniem bezpieczeństwa pracy w polskim górnictwie.



Dlaczego laureat Nagrody Państwowej, prof. dr inż. Cybulski, wybrał akurat tę specjalizację? Dlaczego poświęcił się właśnie walce o życie ludzi pracujących pod ziemią? Nasz reportaż odpowiada na to pytanie. Codzienna walka z katastrofami górniczymi, prowadzona na cichym froncie przez uczonych polskich, przynosi coraz większe sukcesy „Mędrca, szkiełko i oko” obalają stare, niedorzeczne przesady o „ciemnych mocach” w kopalni.

CZTERY LINIE OBRONY

LUCJAN WOLANOWSKI

Zdjęcia: W. PRAŻUCH

PIĄTEGO dnia pobytu w kopalni „Barbara” reporter zapisał w swym notatniku: wyjaśnić koniecznie, dlaczego prof. dr inż. Cybulski wybrał akurat tę, a nie inną specjalizację.

W tej całej sprawie brak bowiem było pewnego logicznego ogniw. Młody inżynier-chemik zostaje asystentem Politechniki Warszawskiej, rozpoczyna karierę naukową w ściśle określonym kierunku. Raptem — odnajdujemy go na Górnym Śląsku, gdzie poświęca się pracy, której najbardziej ogólny tytuł brzmi: nauka walczy o bezpieczeństwo pracy w górnictwie. Skąd więc — przyznacie — taki przeskok w zainteresowaniach? Gdzie leży przyczyna wyjazdu warszawskiego chemika między śląskich górników?

To jedno pozostało jeszcze do wyjaśnienia. Poza tym wszystko było zupełnie jasne.

Poza tym — powtarzam — wszystko było zupełnie jasne. Znalazłem się wśród ludzi, których wyłącznym zadaniem jest wspomoczenie człowieka w jego walce z przyrodą, gdy zapuszcza się on w mroki ziemi, by wydzierać jej węgiel. 30 stycznia 1952 r. Bolesław Bierut powiedział — że „górnictwo to wielka armia”. Wychodząc z tego obrazowego określenia, można sobie wyobrazić zespół prof. dr inż. Cybulskiego jako czołówki saperskie, czyszczące pola minowe przed kilkuset tysięczną armią górników, posuwającą się bez ustanku na podziemnym froncie. Ich walka z przyrodą nie ustaje ani na chwilę, wzmacnia się z każdym dniem: w roku 1952 wydobyto na Śląsku o 15 milionów ton węgla więcej, niż wydobyto na tych samych terenach w roku 1938.

Jakby na tę sprawę nie spojrzeć — będzie ona zawsze sprawą człowieka. Człowiek ma tylko jedno życie — ma ono u nas największą wartość i nie ma ceny, jakiej nie zapłacimy, aby je zabezpieczyć. Człowiek walczy o plan — i w tej walce uczeń musi dać mu pomoc oraz osłonę. Człowiek obala stare przesady, przypisujące wypadki w kopalniach „ciemnym mocom”, i pokazuje, że nauka może dać górnikowi oręż techniki i tarczę mądrych wskazań.

DUCHY, UPIORY I WIDMA

„...Szarlej w nim mieszkają i robi ludziom na paskuda, jak robił kiedyś przed wiekami gwarkom bytomskim, tarnogórskim i olkuskim — pomysłeli niektórzy i spluneli z niechęcią... Można powiedzieć, że stało się to za niecałą sprawą nie Ducha Szarleja czy Ducha Skarbnika, czy zgoła Ducha Pusteki, czy też jeszcze innego ducha złemskiego, jak pospółstwo rade sobie opowiada, wszelakoż za prawdę można przyjąć, iż była to sprawa samego szatana, dyblącego na ludzkie życie i duszę...”

Te dwa choćby fragmenty z powieści „Pokład Joanny” Gustawa Morcinka oddają nastrój tajemniczej grozy, jaka przez stulecia owiewała sprawy wypadków w kopalniach.

Niepoetycznie, ale konkretnie podchodzi do tych zagadnień Minister Górnictwa — Ryszard Nieszporek, który w przedmowie do broszury analizującej wypadki w górnictwie (m. in. wybuch pyłu w kopalni Honkeiko, pracującej pod japońską okupacją w Mandżurii, gdzie w 1942 roku zginęło 1.527 górników) stwierdza, że „wypadki te wydarzyły się jedynie wskutek karygodnych zaniedbań ówczesnego kapitalistycznego kierownictwa kopalń”.

Mamy więc już dwa punkty wyjścia do wędrówki w problem. Pierwszy — to sprawa widm. Widma interesują naukowców polskich z kopalni doświadczalnej „Barbara”, gdyż analiza tak zwanego widma świetlnego może się przydać do badań nad składem powietrza w kopalni, tak jak przydała się np. do ustalenia składu chemicznego masy słonecznej. Punkt drugi zawadza o sprawę bardziej zasadniczą: zaniedbanie zagadnień bezpieczeństwa pracy, właściwe ustrojowi kapitalistycznemu, prowadzi do katastrof górniczych.

Jak więc wygląda walka o bezpieczeństwo pracy górnika tam, gdzie nie straszy już ani Duch Skarbnika, ani Widmo Szarleja, ani Upiór Kapitalizmu?

KATASTROFY W PROBÓWCE

Ponuro zawył syrena kopalniana. W kilka chwil potem rozległ się wybuch tak silny, że aż zatrzęsły się ściany budynków kopalni. Ludzie w tych budynkach nie zwracali jednak uwagi na eksplozję — zabezpieczyli tylko precyzyjne wagi, które i tak stoją na ciężkich postumentach, mających łagodzić powtarzające się tu stale silne wstrząsy.

W kopalni doświadczalnej „Barbara” Instytut Bezpieczeństwa Górniczego syreną alarmową daje znaki ostrzegawcze właśnie po to, aby nie trzeba było w przyszłości używać ich w innych, produkcyjnych kopalniach. Kopalnia „Barbara” nie produkuje węgla — a tylko doświadczenia, mające posłużyć do walki z wypadkami. Nie tylko wyłączona jest z normalnej produkcji, ale nawet dowozi się do niej... węgiel! Dzieje się to wtedy, gdy prowadzone są badania np. nad węglem brunatnym, którego nie ma zupełnie w tej części Śląska. W kopalni doświadczalnej wywołuje się rozmyślnie katastrofy górnicze w pewnych znanych i określonych warunkach. Nie trzeba dodawać, że te sztuczne katastrofy kierowane są i kontrolowane z oddali, bez niebezpieczeństwa dla życia ludzkiego. A więc np. w chodniku doświadczalnym gromadzi się sztucznie pył węglowy i po starannym zamknięciu ciężkiej tamy z masywnego żelaza, powoduje jego wybuch. Czułe aparaty pomiarowe rozstawione w chodniku, prowadzą za człowieka dokładne notatki z przebiegu „wypadku” — odczytania tych aparatów dostarczają cenny materiał naukowy do długofalowych badań nad zapobieganiem i zwalczaniem wybuchów. Przewartościowanie tych materiałów służy m. in. do wskazania górnikowi bezpiecznej drogi pracy. Stale unowocześnia się w Polsce przepisy górnicze. To rzecz niezmiennie ważna, gdyż — zdaniem min. Ryszarda Nieszporka — „sumienne wykonywanie tych przepisów przez całą załogę i dozór techniczny na wszystkich szczeblach przyczyni się do tego, że praca w górnictwie stanie się bezpieczna”.

Uczeni z kopalni doświadczalnej „Barbara” przemawiają też do armii górniczej językiem z placu boju. „Mówią więc oni, że „wybuchy pyłu węglowego są naszym wielkim wrogiem, przed którym jednak możemy się zawsze bronić. Walkę z tym wrogiem organizujemy stosując szereg linii obrony. Gdybyśmy posiadali tylko jedną linię obrony, to w razie jej przerwania przez nieprzyjaciela ponieśliśmyby od razu klęskę katastrofy wybuchu. Dlatego konieczne jest zabezpieczenie się przez tworzenie „głębszego frontu obrony”.

Ludzie z „Barbary” mówią dalej swym towarzyszom broni z armii górniczej, że „pierwsza linia obrony, to zwalczanie pyłu węglowego w miejscu jego powstawania: drugą linią obrony będzie zwalczanie zapoczątkowania wybuchu; trzecią linią obrony stanowi przeciw-

działanie rozwojowi wybuchu; czwartą linią obrony jest ograniczenie zasięgu wybuchu, tj. jego zahamowanie zaporami z pyłu kamiennego”.

CZY WODA MOŻE BYĆ BARDZIEJ MOKRA?

Na pierwszej linii obrony — mówimy tu nadal o tym jednym tylko z zagadnień z warsztatu „Barbary” — poważną rolę gra zwilżanie pyłu węglowego. Znamy obecnie środki bardzo ułatwiające te czynności; pewne



Jakby na sprawę pracy zespołu uczonych z kopalni „Barbara” nie spojrzeć — będzie ona zawsze sprawą człowieka. Człowiek ma tylko jedno życie — ma ono u nas największą wartość i nie ma ceny, jakiej nie zapła-



Inżynierowi Jerzemu Wrońskiemu jego zapalarka magnetodynamiczna przyniosła Nagrodę Państwową III stopnia. Uczni z „Barbary” — to czołówki saperskie, czyścące pola przed kilkuset tysięczną armią górników, posuwającą się bez ustanku na podziemnym froncie ku celowi Sześciolatki: ku stu milionom ton węgla rocznie.

substancje, dodane do wody, czynią ją „bardziej mokra”, gdyż zwilża ona pył węglowy szybko i skutecznie. Zastosowanie tej metody pokazywał mi inż. Miłkowski w prostym doświadczeniu: pył węglowy rzucony na szklaną wodę tworzy suchy kożuch na jej powierzchni, gdy zaś doda się owego zwilzacza — szybko idzie na dno.

Na drugiej linii obrony ważne są roboty strzelnicze prowadzone w należyty sposób. Daje się więc górnikowi polskiemu nowe typy zapalarek elektrycznych, bez-

piecznych wobec metanu. Duże znaczenie dla bezpieczeństwa pracy w tzw. kopalniach gazowych ma wszelki sprzęt elektryczny w wykonaniu ognioszczelnym — gdzie iskra nie może zapalić nagromadzonego gazu. Są to więc ognioszczelne telefony czy silniki elektryczne, na których wybite tajemnicze litery „B. M.” gwarantują „bezpieczeństwo wobec metanu”. Szczególne zasługi ma tu laureat Nagrody Państwowej III stopnia, inż. Jerzy Wroński, którego pomysłu jest zupełnie nowa zapalarka magnetodynamiczna. Nie jest to pierwszy wynalazek tego uczonego, specjalizującego się w projektowaniu elektrycznych urządzeń przeciwmietanowych; wraz z inż. Ciokiem opracował on zapalarkę typu „Barbara I” — również stosowaną tam, gdzie grozi wybuch metanu.

Na trzeciej linii obrony stosuje się opylanie wyrobisk pyłem kamiennym, tak aby obłoki pyłowe, utworzone już z pyłu węglowego i kamiennego, wzniesione po zapoczątkowaniu wybuchu, nie mogły się palić — aby wybuch nie mógł się dalej przenosić.

Na czwartej linii obrony stosuje się bardzo pomysłowe zapory z pyłu kamiennego. Jeżeli mianowicie ustawimy w poprzek chodnika specjalne półki z pyłem kamiennym, to podmuch spowoduje zrzucenie półek i wzniesie pył kamienny w powietrze, tworząc z niego gęste obłoki. Gdy płomień wybuchu dobiegnie do tych obłoków pyłu kamiennego, nie znajdzie w nich dość materiału zapalnego i zgaśnie.

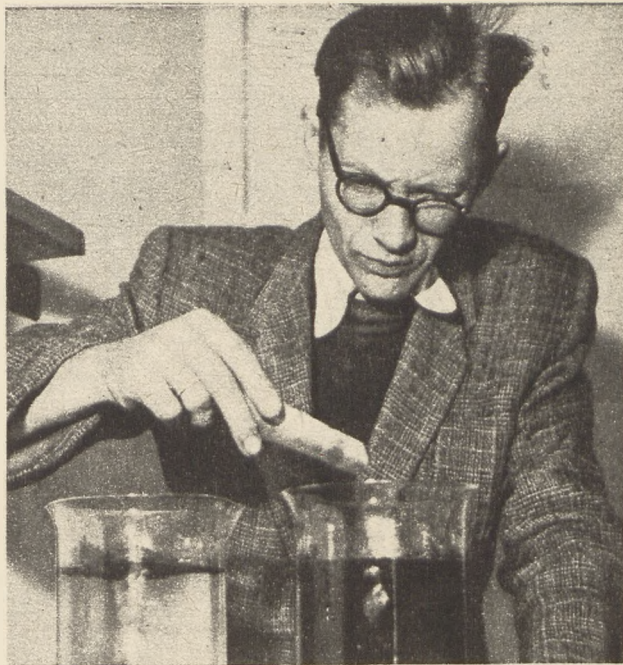
CICHY FRONT

Motorek elektryczny bezustannie pompuje powietrze do piętrowo ustawionych akwariów, z których patrzą na przybysza dziwaczne ryby z wyspy Sumatry i rzeki Amazonki. Godzinami zawieszono nieruchomo w masie wodnej lub śmigające błyskawicznie wśród wodorostów, egzotyczne ryby zaciekawiają i skupiają na sobie uwagę. Wypoczywają oczy człowieka po denerwującej i ciężkiej pracy, gdy patrzy na te harce w łagodnie seledynowej wodzie, umysł znajduje odprężenie, uciekają minuty — jak pęcherzyki powietrza, śpieszące długim szeregiem ku powierzchni wody w akwariach.

Właściciel tych rybek znajduje w hodowli wypoczynek po pracy wymagającej niezwykle precyzyjnych, powiedziałbym — chirurgicznych ruchów rąk, jest on szklarzem, wykonującym w laboratoriach kopalni doświadczalnej najbardziej dokładne przyrządy szklane, urzekające łańka zawilnością i celowością skomplikowanych spłotów rur, rurczek i retort szklanych. Z tchnienia Rajmunda Wilka w rozpaloną masę szklaną, urabianą następnie przemysłowymi retuszami rąk i korygowaną na szybkoobrotowej szlifierce, powstał m. in. przyrząd pomysłu inż. Stodulskiego, służący do określania chemicznego składu powietrza w kopalniach. Ten szklarz precyzyjny, który po pracy zajmuje się ze znanstwem i zamiłowaniem hodowlą egzotycznych rybek, jest też członkiem zespołu z „Barbary” i tak, jak jego towarzysze, ma swoje miejsce w tej ostroń natarcia armii górniczej, maszerującej na zdobycie pozycji, wyznaczonej w sześciolatniej ofensywie: 100 milionów ton węgla rocznie.

Ważność tej pracy zespołowej podkreślał stale prof. dr inż. Wacław Cybulski, któremu podlega „Barbara” i jej ludzie. Opiera się ta praca na uczonych, jak np. dr inż. Smolańskim, mgr Babczyńskim czy inżynierach Charewiczu, Miłkowskim, Stodulskim, Oczko i Tarnowskim; opiera się na uczonym takim, jak dr Olpiński czy prof. Barczyk. Ale praca ta byłaby nie do pomyślenia bez takich doświadczonych techników strażowych, jak Alfred Korus lub Wiktor Szołtyś, bez seniorów załogi — L. Opasa, obecnego sekretarza podstawowej organizacji partyjnej, i Jana Szydło, czy bez zespołu laborantów, postępujących się w swej pracy tak delikatnymi przyrządami, jak wagi elektronowe lub sita do przesiewania pyłu węglowego, liczące na centymetrze kwadratowym 16.900 oczek!

Ważny jest w tym zespole każdy — czy to będzie laureat Nagrody Państwowej, czy też stary górnik Stanisław Latusek — zwany „Centelką” — który opowiadał mi to co jemu z kolei przekazał kiedyś inny, nie żyjący już dziś pracownik „Barbary” — Franciszek Małek. Ten Małek to znowu sam nie widział, ale podobno miał kolegę który w 1909 roku miał spotkać w kopalni „Wujek” takiego „bardzo starego chłopca z brodą, co siedział na ławce i kiwał się, co znaczy, że wtedy w kopalni nie ma już nic do czekania”. Latusek nie miał zbyt wiele czasu, aby mi to wszystko dokładnie opowiedzieć, gdyż właśnie znowu zawyla syrena i znowu piekielne moce podziemi pokazywały na skinięcie człowieka swoje diabelskie sztuczki. Ba, Latusek miał mi nawet za złe, że interesuję się jeszcze takimi bzdurami, w które już nikt nie wierzy. Opowiadał mi jednak z pobłażaniem, stosowanym przez ludzi dorosłych przy opowiadaniu dzieciom bajki o Babie Jadze lub



Czy woda może być bardziej mokra? Inż. Miłkowski z „Barbary” twierdzi, że tak! Pył węglowy rzucony na wodę tworzy kożuch na jej powierzchni, a gdy do wody dodamy zwilzacza (po prawej), szybko idzie na dno.

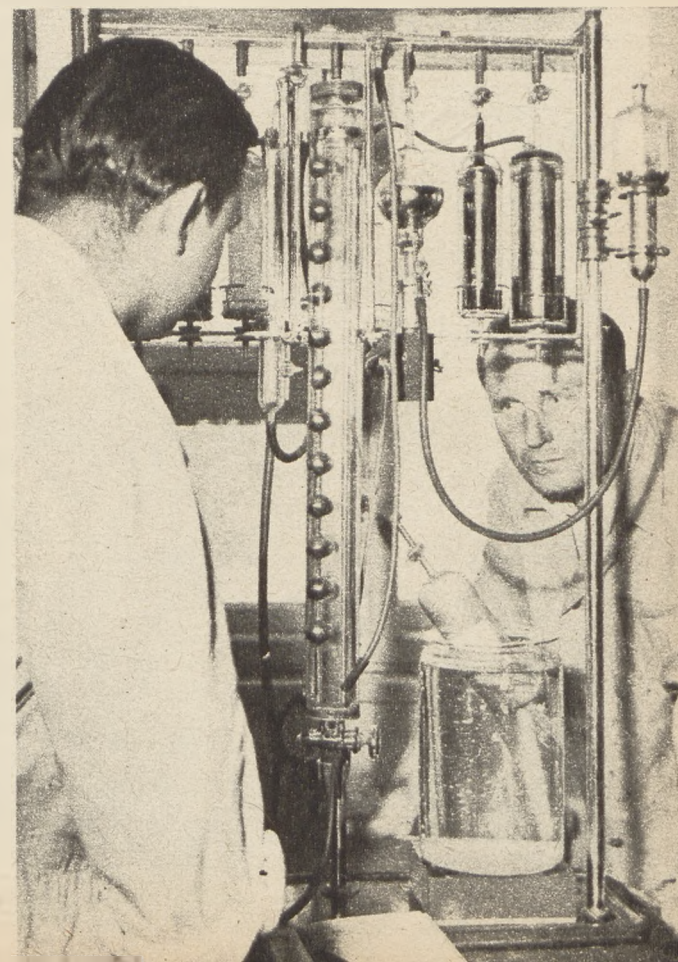
przez starego górnik przy opowiadaniu dorosłemu frajerowi z Warszawy bajki o Duchu Skarbnika.

BRAKUJĄCE OGNIWO

Trzeba jednak wrócić do sprawy tego brakującego ogniwa logicznego i wyjaśnić, dlaczego Wacław Cybulski pojechał z Warszawy na Śląsk i dlaczego tam poświęcił się walce ze złymi duchami kopalni? Sprawę tę udało mi się wyjaśnić dopiero ostatniego dnia mego pobytu na „Barbarze”. Oczywiście prof. dr inż. Cybulski nie miał czasu. To samo bezradne rozłożenie rąk — kiedy prosi się o wywiad — widziałem już wcześniej u kapitana wielkiej żeglugi Witolda Poinca, który kierował podniesieniem z dna morskiego hitlerowskiego pancernika „Gneisenau” i zgodził się na rozmowę z reporterem podczas obiadu, który podano mu na pokładzie „Smoka” punktualnie o wpół do piątej... nad ranem; ten sam gest widziałem, gdy starałem się o rozmowę z wieloma innymi ludźmi na budowach Sześciolatki. Ostatecznie jednak ta pożegnalna rozmowa doszła do skutku i trwała całe 83 minuty. Jest to cyfra względna, jeżeli się zważy, że mój rozmówca w owym czasie 3 razy wychodził wzywany do doświadczalnych wybuchów i odebrał 5 telefonów. Nawiasem mówiąc to bardzo niedobrze, że taki uczonec tyle czasu musi przeznaczać na załatwienie administracyjnych „kawałków” — stanowczo powinien być od tego odciążony. Zwłaszcza sprawy zakupów, to, wiecie, bardzo kłopotliwe przy normalnym biegu urzędowania — a już szcze-

Dokończenie na str. 21

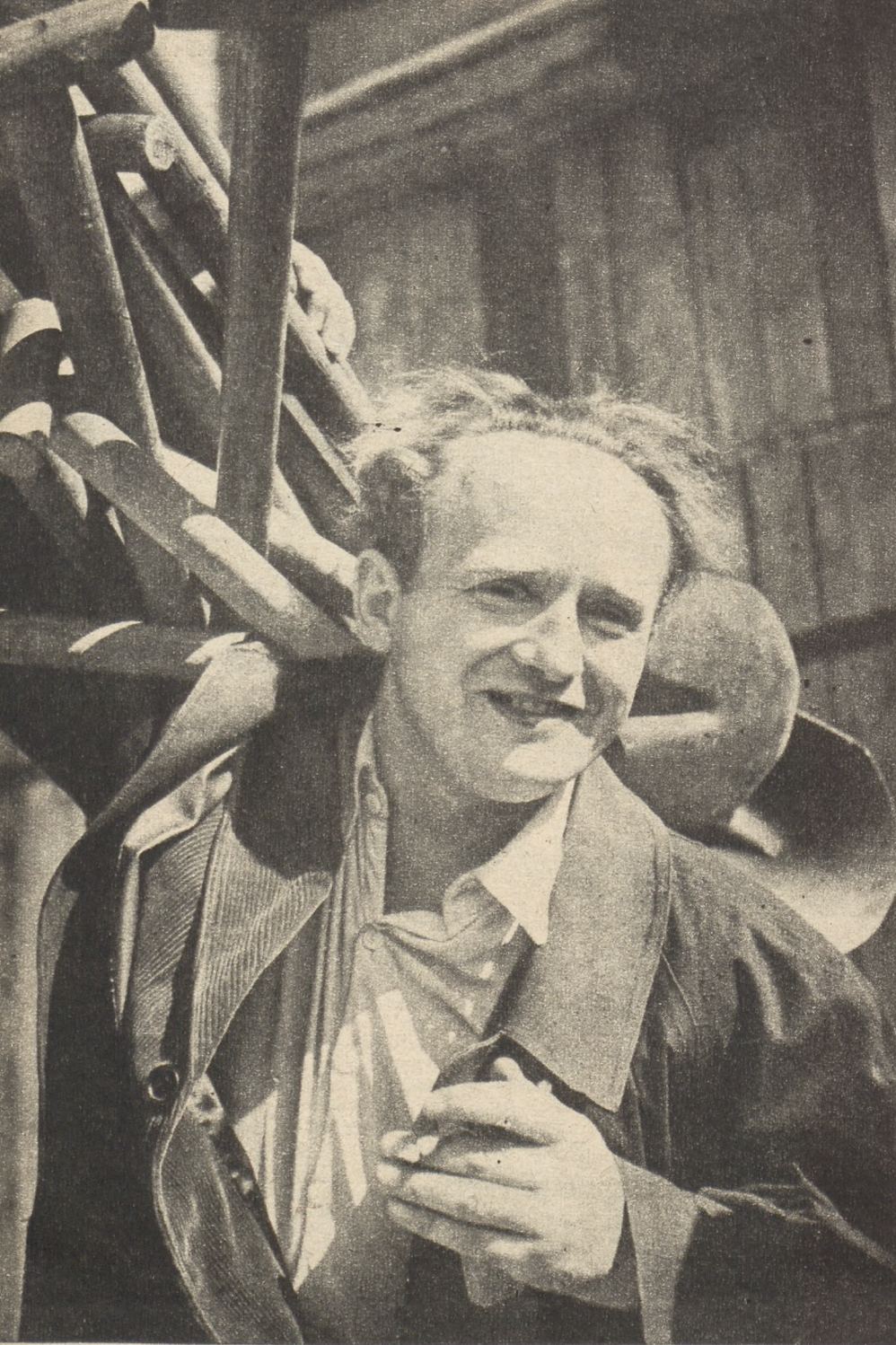
W zespole kopalni „Barbara” ważny jest każdy człowiek. Szklarz precyzyjny, Rajmund Wilk, buduje przyrządy szklane, urzekające zawilnością i celowością skomplikowanych spłotów rur, rurczek i retort.



cimy, aby je zabezpieczyć. Człowiek walczy o plan — i w tej walce uczeni muszą mu dać pomoc oraz ostrzeżenie. A nauka może dać górnikowi oręż techniki i tarczę wskazówek. Na zdjęciu: chodnik doświadczalny

I W TYM ROKU WE WRZEŚNIU...

Zdjęcia: KONSTANTY JAROCHOWSKI



„A mówiłem przecież, że wygodniej będzie w szoferce”. Ale jeśli ktoś chce koniecznie jechać mniej wygodnie, ale za to w wesotym towarzystwie — to już jego sprawa...

„Razem, koledzy, razem!” Kilkanaście takich tacek i będzie przynajmniej wyraźny ślad, że tu w niedzielę pracowali przy budowie Stolicy żołnierze jednostki lotniczej.

Przyszedł z tatusem, chciał razem z nim pracować. Zapomniał jednak zabrać łopatkę, do której jest przyzwyczajony, a ta „nieco większa”, sprawia trochę kłopotu...

W taczce jest chyba piętnaście kamyków. Moglibyśmy zawołać: „Obywatelu, za mało!” On zaś mógłby dać taką odpowiedź: „Wolę mniej, ale za to częściej. To mój własny system pracy...” Zupełnie słusznie. Każdemu przecież wolno stosować własne metody pracy, byle przynosiły one dobre wyniki. A rezultaty społecznej pracy warszawiaków przy budowie Stolicy są bardzo poważne: każdego roku w miesiącu wrześniu przynoszą oszczędność Państwu i pomoc budowniczym miasta, posuwają naprzód dzieło budowy Warszawy.



We wrześniu warszawiacy zgłaszają się ochotniczo do prac społecznych przy budowie Stolicy. Słyszysz się jeszcze czasem w rozmowach termin „odgruzowanie”, ale przecież nie pasuje on do dzisiejszych warunków; ruiny zniknęły już prawie całkowicie. Obecnie porządkuje się place pod nowe osiedla mieszkaniowe, ulice i zieleńce...

Miesiąc Budowy Warszawy zainaugurowano w tym roku pracą przy porządkowaniu nowych parków. W stu punktach miasta pracuje po godzinach zajęć w biurach, fabrykach i innych warszawskich zakładach pracy przeszło sześćdziesiąt pięć tysięcy mieszkańców Stolicy. Niezależnie od tego w całym kraju organizowane są w ramach Miesiąca Budowy Warszawy liczne imprezy artystyczne, sportowe i propagandowe, z których całkowity dochód przeznacza się już tradycyjnie na Społeczny Fundusz Budowy Stolicy.

Kto pracuje w eleganckich butach, może potem usłyszeć w domu wymówki... Warto zaopatrzyć się w robocze obuwie i ubranie, bo to umożliwia „szerszy rozmach” pracy.

Kioski dobrze są zaopatrzone w napoje. Musi wystarczyć dla wszystkich. Dla rezultatów pracy jest to sprawa o niemałym znaczeniu.

„Pan kolega mówi, że najlepiej jest gimnastykować się rano? — Tak, ale trochę ruchu na powietrzu nie zaszkodzi i po południu”.

Jeszcze się rozmawia, może o nowinkach biurowych... ale za chwilę okaże się, że oskardy i łopaty są w chętnych dłoniach, które w ubiegłych latach niejedną godzinę przepracowały dla Stolicy.



Kto tu komu daje przykład, koleżanki kolegom czy koledzy koleżankom? Trudno byłoby to rozstrzygnąć. Jedno jest pewne — Warszawę buduje się serdeczną, wspólną pracą.



OSTATNIA ZBRODNIA HIPOLITA

Napisał: JERZY GRYGOLUNAS

Rysunki: JERZY ZARUBA

II

NA ŻÓŁTA plażę Sopotu fale wyrzucają różowe meduzy. Kiedy długa, złota smuga promieni zachodzącego słońca dopływa morzem do brzegu, umierające na piasku meduzy wyglądają jakby płonęły. Otacza je żywy świat ptaków, ryb, ludzi, owadów, dalekie nawoływania na łodziach rybackich i muzyka płynąca ze starego, leżącego na kraciatym kocu gramofonu.

Hipolit Złotnicki ze smutkiem obserwował bawiących się ludzi. Odcinał się od nich nie tylko swoją smętną, strokaną twarzą, ale i ubiorem. Siedział w sportowym garniturze, na ramionach miał zarzucony nieprzemakalny płaszcz, siwiejącą głowę przykrywał kapelusz, a obok stał niewielki skórzany neseser. Śmiesznie musiał wyglądać, bo biegnąca po ostrych muszlach dziewczyna przystanęła na chwilę, a później idąc brzegiem, ogłądała się za nim niepewnie. Hipolit mruczał pod nosem:

Hipolit Złotnicki przed wojną produkował aluminiowe garnki, narzędzia żelazne i stalowe. Z jednej niewielkiej fabryki rozwinął przedsiębiorstwo w wielkie zakłady przemysłowe. Miał propozycje z zagranicy: jeżeli by się związał z kapitałem francuskim, zdobyłby możliwości eksportowe. Na rok przed wojną uległ nęcej pokusie. Przedstawiciel przemysłu francuskiego, Joseph C...l, był bardzo miły i pełen inicjatywy. Interesy szły coraz lepiej. Pech chciał jednak, że w roku trzydziestym dziewiątym bomby niemieckie rozbiły fabryki Zjednoczenia „Hipolit Złotnicki et Compagnie”.

Hitlerowcy proponowali Złotnickiemu kierownictwo produkcji puszek do masek przeciwgazowych i manierek żołnierskich. Nie przyjął. Nie wierzył w zwycięstwo III Rzeszy. Lepiej zresztą opłacały się transakcje złotem i walutą, jakie prowadził ostrożnie, bez niepewnej szarży, ale zawsze bardzo korzystnie. Miał rozległe stosunki i znajomości. Zatrudniał dziesięciu podupadłych przyjaciół. Byli jego agentami. Po zakończeniu wojny nikt nie mógłby mu zarzucić współpracy z hitlerowcami.

W ostatnim roku wojny Hipolit Złotnicki bardzo się denerwował. Siadał przed rozłożoną na biurku mapą i śledził ruchomą linię frontu. Bał się, że alianci nie zdążą zająć Polski przed Armią Radziecką. W biedermeierowskim salonie na Nowym Świecie czekał na wielki desant amerykańskich skoczków. Kiedy zamykał oczy, widział na niebie tysiące białych spadochronów.

Tymczasem Niemcy cofali się na wschodzie w panice. W ostatnich dniach lipca przez ulice Warszawy przejeżdżały samochody naładowane przerażonymi deutsche Mädel. Potem szła piechota i jechały działa. Hipolit wyjął ze schowka swój skarb i wyruszył do Krakowa. Uciekał nie przed frontem, ale przed Armią Radziecką. Ciągłe jeszcze myślał, że po tygodniu triumfalnie wróci do Warszawy z pierwszymi czołgami armii zachodnich. Wrócił, ale po ośmiu miesiącach. Sam. Zrezygnowany i złamany żałował, że nie uciekł z Polski w trzydziestym dziewiątym roku.

Przyjazd Mikołajczyka natchnął Hipolita Złotnickiego świeżą inicjatywą. Włożył nowe ubranie, zawiązał modnie krawat i jeszcze tego samego dnia przechadzał się lekkim tanecznym krokiem po ulicy Marszałkowskiej. Nazajutrz kupił za milion złotych ocienione krzakami bżów ruiny spalonego domu na Małej Filtrowej i na wół zniszczoną fabryczkę gwoździ na Woli.

Odbudowa domu kosztowała Złotnickiego dużo więcej niż samo kupno, ale już po kilku miesiącach zamieszkał w pięknym nowoczesnym mieszkaniu wyjętym spod kwaterunku. Sprowadzenie nowych maszyn do bicia gwoździ sprawiło mu trochę kłopotu, jak również napełnianie magazynów potrzebnym kwasem i walcówką, ale był dumny z siebie. Chwalił się odnalezionym znajomym:

— Zwykle zaczyna się od takiego nic. Zobaczycie, co Złotnicki potrafi.

Hipolit swój plan realizował powoli i systematycznie. Wszedł w porozumienie z kilkoma dobrymi przemysłowcami i zaczął skupować ich produkcję gwoździ. Płacił najwyższe hurtowe ceny, prawie tak wysokie jak detaliczne, i początkowo ten interes przynosił mu raczej deficyt. Jego dostawcy byli zadowoleni. Nie potrzebowali troszczyć się o nabywców. Złotnicki liczył jednak nie na rynek krajowy. Wiedział, że spełnia się jego nadzieje, kiedy ruszy eksport. Założył biuro. Nawiazał kontakt z „Hartwigiem”. Przyjmował depesze i korespondował z całym światem. Był znów w swoim żywiole: robił pieniądze. Właściwie miał tylko jedną małą fabryczkę, ale pedantycznie i planowo opanowywał całą polską prywatną produkcję gwoździ.

Kontakty zagraniczne wkrótce mu się bardzo przydały. Wysłał gwoździe do Afryki i Ameryki Południowej. Jedyną poważną konkurencją był przemysł państwowy. Fabryki państwowe miały jednak swoich nigdy nienasyconych klientów. Budowano nowe domy i odbudowywano stare. Tylko znikoma ilość gwoździ, które zagarniały ręce Złotnickiego, szła na potrzeby kraju. Wiedział on dobrze, że taka sytuacja nie może trwać wiecznie.

Po ucieczce Mikołajczyka Hipolit Złotnicki przewidywał i swój upadek. Wierzył jednak w swoją szczęśliwą gwiazdę. Marzył: gdyby był teraz w Argentynie, lecz w chwili później twardo odpowiadał: jestem w Polsce, i osrebrzona siwizną włosów jego namiętna twarz Cyclerona kurczyła się w złości jak po kwaśnej śliwce.

Przy końcu roku czterdziestego ósmego została mu jeszcze fabryczka na Woli, ale mówiąc o niej, machał

lekcją ręką. Miał dużo ukrytego złota. Domiary nie rozłożyły go finansowo. Czuł się dostatecznie silny, aby rozpocząć nową kampanię. Tylko jaką? Powrócił do swoich dawnych przyzwyczajeń. Rozkładał na biurku mapę świata i śledził polityczny bieg wydarzeń: Amerykanie kokietowali hitlerowców; w Niemczech zachodnich zaprzestano demontowania fabryk zbrojeniowych, a nawet zaczęto je odbudowywać; Amerykanie zakładali bazy wojenne i wypuszczali na wolność skazanych w Norymberdze faszystów. Hipolit pragnął wybuchu wojny: wierzył, że go uratuje.

Pierwszego dnia wiosny roku 1950 siedział na fotelu w otwartych drzwiach balkonu. W ogródku za oknem biła mała fontanna, w gałęziach bzu śpiewały sikorki. Hipolit był zmęczony i zdenerwowany. Sięgnął ręką po „Life” leżący na wielkim mahoniowym biurku i ze znużoną miną przewracał kartki.

III

Sprawa z magazynami wyglądała tak: w grudniu czterdziestego dziewiątego roku wybuchł pożar w fabryczce na Woli, który strawił drewnianą przybudówkę — na magazyny gotowych gwoździ. Wypadek miał miejsce w nocy i sama sprawa wybuchu ognia otoczona była tajemnicą. Straż pożarna umiejscowiła pożar, ale przybudówka cała spłonęła. Milicja ustaliła, że zaszedł wypadek podpalenia. Sprawcy nie ujęto. Straty były duże: skrzynki opakowania spalone albo zwęglone, gwoździe rozsypane i poczerńnięte.

Złotnicki postanowił część obszernej hali kwasniarni zamienić na nowe magazyny. Po jednej stronie kwaszoną drut w roztworze kwasu, a później neutralizowano kwas w wodzie wapiennej, a po drugiej zabijano wieka skrzynek i ustawiano je w wysokich sztertach. Hipolit dobrze wiedział, że opary kwasu ujemnie działają na gotowe gwoździe, które po pewnym czasie zaczną rdzewieć.

Bomba wybuchła przy końcu maja. Do kantoru fabryczki nadeszło zażalenie kierownictwa budowy szkoły w Zalesinie. Na dowód przystano skrzynkę pełną popsutych gwoździ. Złotnicki miał nieprzyjemną wizytę. Przewodniczący rady zakładowej kategorycznie zażądał zmiany sytuacji.

Hipolit sapnął. Grzebał palcami w przywiezionej z Zalesina skrzynce. Potem wytarł rudą rdzę z palców w wielką, białą chustkę i podniósł się z krzesła. Chciał namyślać przewodniczącemu, wyrzucić go za drzwi. Jednak zamiast krzyku, z gardła wydobył się przyjemny głos, a na usta wypłynął przymilny uśmiešek:

— Panie kolego, zaczekajcie jeszcze trochę. Dajcie mi dwa miesiące czasu, a uwzględnię wasz słuszny protest. Oczywiście: obecnie magazyny są prowizoryczne. Przyjmijcie moją dobrą wolę i uważajcie, że nowe magazyny są już w tej chwili *in statu nascendi*.*)

Przewodniczący rady wiercił spojrzeniem oczy dyrektora.

— Proszę nie mówić do mnie obcymi słówkami. Proszę jasno: jak będzie z magazynami?

Złotnicki jeszcze bardziej rozpromienił na twarzy uśmiech:

— Przepraszam, za to moje łacińskie przyzwyczajenie. *In statu nascendi* znaczy mniej więcej tyle, że myślę o magazynach i są one już w stanie tworzenia. Mam jednak swój warunek: dajcie mi dwa miesiące na finansowe kalkulacje. Rozumiecie, że bez nich nie można się nawet obrócić. Praca pracą, a książki kasowe książkami.

Robotnik był niski, w wieku Złotnickiego, a u lewej ręki miał trzech palców. Dwa pozostałe skierował w pierś fabrykanta i powiedział:

— Dobrze: ale jeden miesiąc zupełnie wystarczy.

Po jego wyjściu Złotnicki padł ciężko na krzesło. Sapnął i głośno przeklinał. Z sąsiedniego pokoju wyrzała przyłizana głowa buchaltera. Hipolit rzucił w jego stronę:

— Zamknij pan drzwi. Ja myślę.

IV

W fabryce prowadzono przeciwko Złotnickiemu agitację. Przewodniczący rady zakładowej urządzał po pracy zebranie. Z dzielnicy przychodzili na nie przedstawiciele partii. Majster doniósł szefowi, że robotnicy podpisali prośbę o jak najszybsze przejęcie fabryczki przez Dyрекcję Przemysłu Miejscowego. W tym czasie Hipolit Złotnicki ciężko zachorował.

Miał gorączkę i bredził. Gospodyni Joanna była wystraszona. Hipolit opowiadał o małych dzieciach, które ćwiczyły jak żołnierzy czarne polne mrówki, o karuzeli, na której jeździł kiedyś z zielonooką dziewczyną. Płakał, że dziewczyna uciekła od niego z kochankiem. Wołał: „Iwona! Iwonko, czemu nie piszesz listu do Trumana. Pisz prędzej, bo nie zdążymy”. Później zapadał w głęboki sen. Budził się i prosił o szklankę wody. Joanna przynosiła mu sok pomarańczowy. Krzyczał, że

*) *in statu nascendi* (łac.) — w stanie narodzin w trakcie powstawania.



Śmiesznie musiał wyglądać, bo biegnąca dziewczyna, przystanęła...

— Czego się, kozo, patrzysz? Mogłem przecież przyjechać do Sopotu służbowo i na chwilę wyjść z miasta na plażę.

Przy gramofonie leżał staruszek, palił fajkę i uśmiechając się melancholijnie, zmieniał płyty. Jego żona, emerytowana tkaczka z Łodzi, rozmawiała z tramwajarzem. Kilka dziewcząt w mokrych od wody kostiumach tańczyło zerkając na siedzących opodal mężczyzn. Staruszek ich zachęcał: „Bawcie się, panowie, póki gra muzyka, panie czekają na kawalerów”.

Hipolit liczył minuty: kiedy się ściemni? Umówił się z Mietusem o dziesiątą. Miał jeszcze dwie godziny czasu. Zabawa na plaży potęgowała jego zdenerwowanie. Chętnie by sobie stąd poszedł, ale dokąd? No i właściwie po co? Odwrócił oczy na usypiające morze: słońce rzucało na wodę podłużny czerwony słup. Hipolit zamknął zmęczone oczy. Gdy je otworzył, ujrzał przed sobą dwie smukłe przytulone sylwetki. Niskie fale otaczały nogi chłopca i dziewczyny. Patrzyli daleko, zasłuchani w ciszę fioletowej już wody, nad którą zapalały się małe srebrne gwiazdy. Pocałowali się, zanurzyli ciała w falach i popłynęli w stronę zbliżającej się łodzi. Gramofon milczał i Hipolit odetchnął z ulgą: został sam na plaży. Jednak omylił się. Usłyszał cichy śmiech staruszka:

— Nie może się pan zdecydować na kąpiel?

Odwrócił się. Dwoje starych ludzi wchodziło do morza. Nic nie odpowiedział. Staruszek nie obraził się. Weszło dokończył:

— Słońce i woda wracają młodość. My pierwszy raz jesteśmy, proszę pana, nad morzem, to się moczymy jak dwie ryby.

Hipolit warknął rozdrażniony:

— Jak byłem w pana wieku, to też z morza nie wychodziłem.

Zapadała noc, więc Hipolit podniósł swoją walizkę i wolno poszedł na przystanek trolleybusowy. Elektryczna linia była uszkodzona i do Gdyni trzeba było wracać pociągiem. Przy końcu peronu, nad parowozem migotało kilkanaście światełek różnych sygnałów. Na semaforze płonęło o góry czerwone koło, a nad ziemią błękitna, jak kamień górski, latarnia. Po chwili czerwone światło zgasło, a na jego miejscu zapaliło się dwoje wielkich zielonych oczu.

Pociąg ruszył. W korytarzu wagonu, zatłoczonym jadącymi z Sopotu do Gdyni wczasowiczami, Hipolitowi przypomnieli się nagle starzy miłośnicy morskich kąpiei i ku zdziwieniu podróżnych roześmiał się swoim niskim, chrapliwym głosem:

— Przecież on był starszy ode mnie co najmniej o dziesięć lat.

jest milionerem: „Mam złoto; jeszcze zobaczymy, kto zwycięży”. Zrywał się i chciał biec do swego przedwojennego bankiera, Stanisława Kwinto. Joanna kładła mu na czoło zimny kompres i Hipolit znów spokojnie zasypiał. Kiedy indziej wołał milicję i oskarżał się: „Nienawidzę was; to ja podpaliłem fabrykę, a jutro w powietrze wysadzę miasto”.

Joanna płakała: „O mój biedny panie Hipolicie. Co się z panem dzieje? Takie straszne rzeczy pan mówi”.

Dwudziestego dnia choroby lekarz pozwolił wyjść Hipolitowi do małego ogródka. Kwitły późne poczwórne bzy. Na zielonym kasztanie świegotały wróble. Seledynowa wałka usiadła na dłoni starego człowieka: leciutko i bezzwłocznie poruszała skrzydełkami. Hipolit był rozczulony: nie bała się go.

Przed południem listonosz przyniósł pocztę. Hipolit długo obracał w dłoniach podłużny zapieczętowany express. Wzywano go do Dyrekcji Przemysłu Miejskowego: „Prosimy o niezwłoczne porozumienie się w sprawie przejęcia fabryki gwoździ Obywatela”. Złotnicki pokiwiał głową: „Oto koniec zabawy”. Ciężko usiadł przy swoim wielkim mahoniowym biurku. Zapalił papierosa i sięgnął do biblioteczki po francuski przekład z greckiego „Anabasis” Ksenofonta. Lubił zaglądać do tej rycerskiej książki greckiego polityka. Przez chwilę namyślał się, na której otworzyć stronie, w końcu wybrał fragment o męstwie. Zegar wybił godzinę dwunastą i Hipolit pomyślał, że dobrze byłoby przed zagłębieniem się w lekturze posłuchać radiowego dziennika. Otworzył aparat. Spiker czytał:

„Dzisiaj, dnia dwudziestego piątego czerwca rano, wojska marionetkowego rządu Południowej Korei rozpoczęły wzdłuż linii 38 równoleżnika nagle natarcie na terytorium Korei Północnej”.

Hipolit Złotnicki zamarł w swoim fotelu: Wojna! Zaczęło się! To nic, że kilka tysięcy na wschód od Warszawy, ale wreszcie prawdziwa wojna. Odruchowo zaczął czytać książkę na przygotowanej stronie:

Ksenofont pisał: „Na wojnie, jak wiecie, zwycięstwo daje nie przewaga liczebna ani siła; ale ci, co idąc na wroga mają serca najbardziej mężne, nie znajdując najczęściej przeciwnika, który mógłby się im oprzeć. Ci, co na wojnie starają się wszelkimi siłami ocalić swe życie, giną zazwyczaj śmiercią tchórzowską i haniebną, podczas gdy ci, co rozumieją, że śmierć jest nieunikniona i wspólna wszystkim ludziom, i walczą, aby umrzeć w chwale, ci właśnie częściej od innych dożywają starości i póki żyją cieszą się szczęściem”.

Hipolit Złotnicki ze złością zatrzasnął „Anabasis”. To co pisał Ksenofont mogło być dobre dwadzieścia pięć wieków temu, kiedy walczono na miecze i dzidy, ale nie w roku 1950. Du Pont’owie mają takie schrony, że ich nie zniszczy nawet bomba atomowa. Co innego żołnierz. Ci mogą sobie słuchać Ksenofonta. A Hipolit? O niego walczy IG Farben i Standard Oil, Morgan, Rockefeller, Du Pont i Hearst. Jeżeli przemawia Churchill, Truman, Attlee czy Bidault, to występują w obronie jego interesów. Jeżeli zużywają gumę chłopcy z preri amerykańskiej trzymają straż nad Łabą, to dlatego, aby on, Hipolit Złotnicki, mógł mieć nadzieję.

W radio śpiewał drżący, młody kobiecy sopran. Hipolit uśmiechnął się ciekawo: nie jest samotny. Nawet tu w kraju ma swoich sprzymierzeńców. Ale Złotnicy nie nadają się do roli żołnierzy. Żołnierz płaci swoją krewią, a czy ktoś z rodziny Du Ponta, który teraz produkuje bomby atomowe, utraci podczas wojny chociaż uncję krwi?

V

Złotnicki niespodziewanie miał dobry dzień: rano w kawiarni „Szwajcarska” spotkał dawno zapomnianego przyjaciela, z którym przed wojną licytowali się we wspólnej pasji zbierania obrazów. Zgodnie tłumaczyli znajomym: „Sztuka zdobi ich luksusowe wnętrza, artyści pracują dla nich. Kto ma pieniądze, może zdobyć najcudowniejsze rzeczy, jakie stworzyła ręka i umysł człowieka. Jak w Ameryce. Tam, jeżeli nawet nie znają się na sztuce, to magazynują rzeźby, obrazy i stare rękopisy”. Mówili: „Naszym ideałem jest dom starożytnego patrycjusza, a w nim można było znaleźć obok amfor greckich tabliczki z rachunkami interesów”.

Pułkownik Sepiński postarzał się, pod oczami wisiały mu blade worki, ale twarz jak dawniej pozostała energiczna. Jego szerokie plecy opinał elegancki sportowy garnitur. Przyjaciele uścisnęli sobie serdecznie ręce i nad kieliszkiem wytrawnego wina pograżyli się w drugiej rozmowie. Złotnicki opowiedział pułkownikowi o wszystkich swoich niepowodzeniach:

— Stoję teraz przed kamienną ścianą, której głową nawet z panem nie skruszę.

Sepiński uśmiechnął się:

— Drogi panie Hipolicie, po cóż ją mamy kruszyć głowami? Są siwe. Czyż ich nie szkoda.

— To może powiesić się?

— Nie powiesić, a jechać tam, gdzie pana przyjmą z otwartymi rękami.

— Myśli pan, że to takie proste: postawię nogę na kładce i jestem za oceanem?

— Pomogę panu.

— Panie pułkowniku!

— Niech pan mi nie dziękuje. Mamy tych samych wrogów. Złóż pan tylko dobrowolnie ofiarę na walkę z reżymem.

— W jakiej walucie, pułkowniku?

— Dolarzy przydadzą się panu za granicą. Może pan dać w tutejszych pieniądzach. A propos, ja chętnie panu wymienię gotówkę na dolary.

— Dziękuję. Raczej nie zbieram krajowych papierków. Mam ich stosunkowo niewiele.

— Ile?

— Około miliona. Tyle zresztą przeznaczam na cel, o którym pan mi wspominał. Dobrze?

— Znakomicie. Kiedy pan będzie gotów?

— Choćby nawet jutro. Z tym krajem już nic mnie dzisiaj nie łączy. *Finita la comedia*.**)

Sepiński żywo poruszył się na krześle.

— Cudownie, panie Hipolicie. Będzie mi pan wdzięczny do śmierci. Jak spotkamy się na Broadway’u, pojedziemy na dużą whisky.

Obaj starsi panowie śmiali się wesoło. Jeśliby ktoś obserwował ich z boku, pomyślałby pewnie, że wspominają swoje młodzieńcze przygody.

Hipolit zapytał:

— Przyznam się, że nie bardzo jeszcze rozumiem, jak będzie wyglądała moja podróż. Czy wyprawicie mnie okrętem, jak Mikołajczyka, czy też pieszo będę musiał maszerować przez granicę?

Pułkownik rozcierał na talerzyku okruszynki ciastka.

— Niech pan się o nic nie boi. Wszystko załatwią moi ludzie. Pojedzie pan do Gdyni i spotka się z jednym z nich. Nazwisko ma trochę dziwne: Miętus. Taki zwykły



Miętus i blondynek o chabrowych oczach...

kunda portowy. Kiedyś chłopiec jeździł na statku. Lubił pić. Powie mi pan: który marynarz nie lubi wódki? Lubił kobiety. Który marynarz nie lubi kobiet? Ale Miętus lubił jeszcze cieniutkie nylony, których marynarze lubić nie powinni. Nylony są *nur für Mädchen*.

Sepiński chichotał:

— Wyrzucili go. Teraz służy u nas, wprawdzie nie na statku, ale nie narzeka. Gdy pan się zobaczy z Miętusem, proszę mu powiedzieć tylko te cztery słowa: „Przysyła mnie zegarmistrz z Warszawy”. Dla zegarmistrza chłopak zawiezie pana i do Ameryki. Właśnie ma teraz przerzucić przez morze jednego chłopczyka. Ach, co za oczy ma on: chabrowe spojrzenie dziewczycy. Ha, ha, ha. Nie będzie się panu nudziło. To człowiek z przeszłością...

Hipolit Złotnicki był uszczęśliwiony: za kilka dni znów rozpocznie nowe życie. Jak za dawnych czasów zadzwonił paznokciem o szyjkę napełnionego alkoholem kieliszka i wyraźnie akcentując łacińskie słowa, wyrecytował:

— *Vinum laetificat cor*, jak mawiali starożytni. Pijmy więc kochany pułkowniku, wino naprawdę rozweśla serca.

VI

Złotnickiego obudził silny snop światła elektrycznego. Początkowo nie wiedział, gdzie jest i co się dookoła niego dzieje. Po chwili dopiero pojął, że ucieka z Polski na rybackim kutrze, a światło pada z latarki, którą trzyma w ręku narzucony mu wspólnik podróży. Młody człowiek z zainteresowaniem przeglądał rzeczy w otwartej walizce, podważał nożem jej brzegi i czegoś uparcie szukał. Szybkie spojrzenia, jakimi obrzucał róg komórki zajęty przez Hipolita, wskazywały, że nie chce być nakrytym przy swojej robocie. Hipolit Złotnicki ze zdziwieniem zauważył w jego ręku swój skórzany neseser do golenia. Ostrożnie sprawdził zaszyte w ubraniu płaskie paczki pieniędzy oraz okrągłe złote monety dwudziestodolarówek. Pod zdenerwowanymi palcami wyczuł radosne zgrubienia: są. Poruszył się nieśmiało na posłaniu, jakby pragnął dać znać złodziejowi, że czuwa. Mężczyzna zatrzasnął wieko walizki i namacał go reflektorem. Twarz miał ukrytą w cieniu, ale Hipolit odczuwał na sobie uważny wzrok przeciwnika. Bał się strasznie mężczyzny o dziewczęcej urodzie, lecz nie dawał tego po sobie poznać. Złotnicki przypomniał sobie wszystko, co o nim wiedział: był on esesmanem i suterenerem, a teraz z nim płynął pod jednym dachem. Uśmiechał się niepewnie i próbował żartować.

— Pan może chce pić? Herbatę mam w termosie pod białą koszulą.

Latarka zgłaszała na chwilę. Zapaliła się razem z przeciągłym śmiechem blondynka.

— Herbatkę pij sam, stary błaznie. Mnie możesz kupić tylko Gold Ginem.

Długo milczeli w ciemnościach. Kuter kołysał fale Bałtyku, a dookoła słychać było trzeszczenie drewnianych wiązań statku. Pierwszy odezwał się młody człowiek:

— Mogłby się pan podzielić ze mną dolarzami.

Złotnicki przeklinał Sepińskiego, Miętusa, życie, które spłatało mu takiego figla. Spróbował zagrać naiwne-go staruszka.

— Mylisz się, synu, sądząc, że ja jestem bogaty. Jestem tak samo biedny jak ty. My, synu, jedziemy dopiero po złoto Klondyke.

Przerwał mu złośliwy głos sutenera.

— Nie udawaj, dziadku, pątnika wędrującego po prośbie. U mnie tacy żadnych szans nie mają. Operację robię szybko: sekunda i kchch...

Hipolit drżał jak w febrze. Wiedział, że blondynek mówi prawdę. Co robić: jeżeli mu da połowę swego kapitału, nie uchwaja i drugiej części. I takie bydlę, taki zbrodniarz, ma niewinne chabrowe oczy. Jakżeż natura obdarowuje ludzi idiotycznie.

VII

Mechanizm zegarka cykał denerwująco. Nafosforyzowana wskazówka minutowa wolno jak żółw mijała świecące cyfry. Złotnicki postanowił walczyć o swój majątek. Jasnowłosy mężczyzna gwizdał w kącie monotonne tango. Nad jego legowiskiem, jak czerwona latarnia dalekiego semaforu, żarzył się koniec papierosa. Minęło kilka minut, a mężczyzna wciąż jeszcze gwizdał ten sam powracający motyw, który działał na Hipolita denerwująco, niczym krople wody opadające na odkryte czoło.

Wyzwolenie przyszło niespodziewanie: ktoś wyjmował deski ze ściany. Do ślepej komórki wpadł promień światła i boleśnie ukłuł przyzwyczajone do ciemności oczy. W szparze między deskami ukazała się brodata twarz szypra. Ręką dawał znak, aby uciekinierzy wyszli na pokład.

Na dworze świeża. Za okrągłym okienkiem kajuty zieleni wody mieszała się z błękitem nieba. Część tarczy słonecznej kryła jeszcze morze. Na falach migotały jak łuski ryby wąskie złote podkowy. Świeże powietrze upiło Hipolita. Oddychał głęboko. Ucieszony, że nie będzie musiał już sam przebywać z terroryzującym go człowiekiem, zapomniał o właściwym celu wizyty szypra. Uprzytomnił go sobie dopiero, gdy usłyszał szcęk repetowanego rewolweru. Mieli wyjść na pokład i zmusić do uległości rybaków, którzy nic nie wiedzieli, że ich kuter od kilkunastu godzin wiezie dwóch dobrze ukrytych blindarzy. Szyper przynaglał. Zbliżali się do wybrzeży Szwecji.

Złotnickiemu podano stare niemieckie parabelum. Sprawdził magazynek: do połowy był naładowany. Szyper odszedł, aby objąć wartę przy sterze. Młody mężczyzna, o przeszłości esesmana i sutenera, próbował dłonią ostrze długiego fińskiego noża. Ruszył pierwszy. Stapał delikatnie, na palcach, lekko pochylony do przodu. Cienkie, blade wargi miał kurczowo zasznurowane, w lewej dłoni trzymał rewolwer, a z prawej wyrastało błyszczące stalowe ostrze. Za nim skradał się Hipolit.

Na dziobie dwóch rybaków reperowało sieci. Trzeci stał obok szypra i obserwował sunącą morzem flotyllę. Kutry płynęły gęsiego, zapadając się między białe grzebienie fal, to znów wydostając na grzbiety bałwanów. Morze było wzburzone, a na horyzoncie wąskie pasmo chmur nabierało ciemnego koloru. Hipolit, nie przyzwyczajony do kołysania statku, niemrawo stawiał nogi. Ich kuter płynął ostatni. Dalej była już tylko zie-



Złotnicki wystrzelił do młodego rybaka...

lona, woda, a wśród niej, daleko na wschodzie, czerwony kształt słońca.

Hipolitowi Złotnickiemu drżały z emocji mięśnie, kiedy podchodził do stojącego przy szyprze młodego rybaka. Widział jego szerokie ramiona, przykryte spływającymi z głowy szarymi skrzydłami kaptura, i bał się otwartej z nim walki. Rybak wyczuł obecność za sobą obcego człowieka i odwrócił głowę. Szyper śledził spode łba całą scenę. Nieznacznie zmieniał kierunek kutra. Hipolit stał z wyciągniętym rewolwerem. Młody i stary człowiek zżymno mierzyli się spojrzeniem. Rybak ruszył pierwszy na niego. Wtedy rewolwer wypalił i ciało mężczyzny osunęło się na deski pokładu. Złotnicki pochylił się nad swoją ofiarą, oszołomiony, ale z uczuciem ulgi: czyżby walka była wygrana?

Dokończenie na str. 18

**) *Finita la comedia* (włosk.) — komedia skończona.



Jędrzejowska i Ryczkówna po przyjeździe z turnieju budapeszteńskiego

JADWIGA JĘDRZEJOWSKA

KORTY NA WYSPIE MAŁGORZATY

WYPRAWA naszych tenisistów do Budapesztu nasuwa mi pewne refleksje. W Budapeszcie byłam tyle razy przed wojną, widziałam wiele innych miast Europy i Ameryki. Ale często zastanawiałam się: czy znam te miasta?... Niestety... Podróżowałam wiele, ale odbywało się to mniej więcej w ten sposób: zapraszano mnie na turniej. Z dworca jechałam do hotelu, z hotelu na korty, z kortów znów do hotelu. Po zakończeniu turnieju odbywał się bankiet i trzeba było szybko opuszczać miasto. Gospodarze bywali mniej lub więcej gościnni, zależnie od formy, w jakiej się znajdowałam.

Napisałam taki wstęp — aby powiedzieć, że nasi tenisiści nie tylko grali na kortach Budapesztu, ale i gościli w pięknej stolicy Węgier. Zapoznali się z jej nowoczesnym budownictwem, oglądali wspaniały stadion na 100.000 widzów. Byliśmy w teatrze, braliśmy udział w wycieczce statkiem po Dunaju, pojechaliśmy samochodami nad brzegi Balatynu, oglądaliśmy tam urządzenia sportowe, ośrodki wczasowe.

Turnieju w Budapeszcie nie wygra-

łam. Uległam w półfinale młodszej i szybszej mistrzyni Węgier, Javory. Jechałam do Budapesztu nie z myślą o zwycięstwie — każdy mój wyjazd na większy turniej traktuję teraz jako pogłębienie mej wiedzy tenisowej. Tenista musi się uczyć całe swe życie, bo przed nami, starszymi graczami, którzy znajdują się u schyłku kariery sportowej, stoją wielkie zadania: uczyć naszych następców.

Dlatego też, jakkolwiek w Budapeszcie poniosłam porażkę, opuściłam stolicę Węgier w radosym nastroju; młodsza koleżanka zwyciężyła. Mam na myśli Zuzannę Ryczkównę, która wygrała turniej w kategorii juniorek. Ryczkówna w półfinale pokonała Węgierkę Kovacs, a w finale gładko Rumunkę Namian. Cieszę się z tego sukcesu młodej dziewczyny. Cieszę się, że w tym sezonie zimowym będę mogła poświęcić dużo czasu młodszej koleżance, że będę ją trenowała na kortach krytych.

Zuzanna Ryczkówna jest córką znanego trenera tenisowego z Gliwic. Ojciec Zuzanny od młodości związany jest ściśle z tenisem — pełni on obowiązki nie tylko trenera, ale i opiekuna kortów w Gliwicach. Marzeniem papy by-

ło — wychować córkę na dobrą tenisistkę. Zuzanna musi codziennie z ojcem grywać przez godzinę lub dłużej i „biada jej”, jeśli się chciałaby z tej reguły wyłamać. W rodzinie Ryczków obowiązuje ścisła dyscyplina...

Marzenia ojca stają się coraz bardziej realne. Ryczkówna nie jest jeszcze wprawdzie doskonałą i scementowaną tenisistką: ta młoda dziewczyna wadliwie uderza piłkę, nie umie dobrze grać przy siatce, nie umie cofnąć się szybko od siatki, gdy przeciwniczka wywabi ją do przodu. Niemniej — Zuzanna ma wszelkie dane, aby poczynić duże postępy, bo ma dobre warunki, jest silna, dobrze zbudowana. Musi się jednak wiele uczyć, ciągle uczyć!

Rozpisałam się o tenisie kobiecym, ale należy kilka słów wspomnieć o kolegach. Nie odnieśli oni sukcesu w Budapeszcie. Wylosowali nieszczęśliwie, natykając się już w pierwszych rundach na przeciwników silniejszych i więcej doświadczonych. Jeden tylko Piątek został rozstawiony, niestety przegrał z Czechosłowakiem Smolinskim, choć miał możliwości na zwycięstwo. Nerwy Piątka i tym razem nie dopisały.

A w ogóle naszym zawodnikom zabrakło w Budapeszcie dobrej kondycji fizycznej — tak niezbędnej w ciężkich turniejach. Może jedynie tylko Licis grał w pełni sił. Muszę powiedzieć szczerze — po mistrzostwach Polski we Wrocławiu sądziłam, że nasi tenisiści na terenie międzynarodowym wypadną lepiej. Niestety, Budapeszt dowiódł, iż mają zbyt małe doświadczenie, aby odnosić sukcesy w trudnej rywalizacji.

Zajęliśmy miejsca w samolocie, który za chwilę wystartuje do Warszawy. Zataczamy szerokie koło nad Budapesztem. Na wyspie Małgorzaty dostrzegłam rdzawe plamy kortów. Ileż wspomnień łączy mnie z nimi!

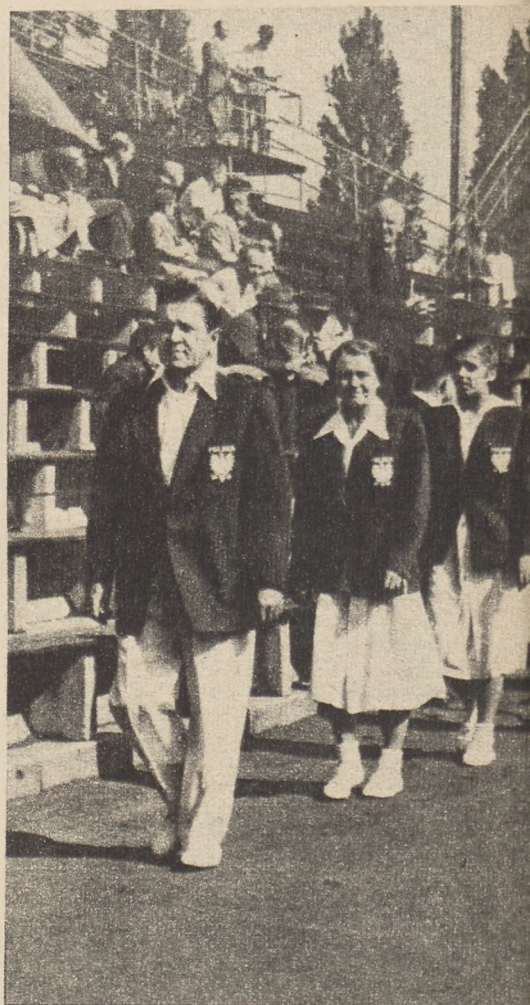
W latach 1933—36 trzy razy zdobywałam na nich mistrzostwo Węgier. Wywalczyłam piękny puchar.

W maju 1936 roku odniosłam na kortach budapeszteńskich jeden z największych sukcesów w moim życiu. Organizatorzy sprowadzili Amerykankę, Helenę Jacobs, wówczas drugą rakiętą świata. Podobno byli pewni, że Helena pokona mnie bez trudu, a więc puchar zostanie nadal w ich rękach.

Pierwszego seta Jacobs wygrała dość łatwo 6:3, ale w drugim zaczęłam grać lepiej. Posyłałam bardzo długie piłki, aby za chwilę skrócić je i zmusić rywalkę do szybkiego startu. Takie bieganie po całym korcie wyczerpało Jacobs.

Dlaczego grałam tak dobrze...? Czasami na to wpływają zupełnie nieoczekiwane okoliczności. W pewnej chwili zobaczyłam na trybunach znajomego Węgra, którego poznałam dopiero przed kilku dniami. Nie będę ukrywała, chłopak podobał mi się wtedy bardzo. Po jednej z moich silnych piłek spostrzegłam ukradkiem, jak młody człowiek uśmiechnął się i zaczął bić brawo. Jeśli tak — myślę — to pokażę ci jeszcze lepsze piłki... I zaczęłam grać z olbrzymią ambicją. Drugiego seta wygrałam 6:1, a w trzecim rozniosłam Amerykankę 6:0.

Chłopak z trybuny pierwszy do mnie podbiegł i uściśnął rękę, wieszając zwycięstwa. Ucieszyło mnie to nie mniej niż zdobyty puchar...



DEFILADA ZAWODNIKÓW POLSKICH

„70” i D



Ciachówna i Bocianówna — dwie rekordzistki ostatnich mistrzostw Polski.



Ela Bocianówna (pierwsza od lewej) w biegu na 80 m przez płotki, który przyniósł jej ty-



Z Polaków biorących udział w międzynarodowym turnieju tenisowym w Budapeszcie najlepiej spisała się Zuzanna Ryczkówna — pierwsza w grupie juniorek.



NOWA SZTUKA O SUŁKOWSKIM

J. A. SZCZEPAŃSKI

OD CZASU głośnego dramatu Stefana Żeromskiego „Sułkowski” — powstać tego oficera wojsk polskich i rewolucyjnych wojsk francuskich, świetnego żołnierza, gorącego patriotę i jednego z najbardziej postępowych Polaków swego czasu jest bliska i znana społeczeństwu. Zaledwie 28 lat miał Józef Sułkowski, gdy padł o bramy Bel-el-Nasr na przedmieściu Kairu, zasiekany przez broniących ojczyzny powstańców arabskich w Egipcie: tragiczny los żołnierza, który całe życie pragnął poświęcić walce o wolność i całe życie walczył w znakach wolności, aż, znajdując się u boku wodza, który wolność zdradził — poległ w służbie obcych interesów, w niesłusznej walce przeciw cudzej wolności.

Sułkowski, bohater walk w Polsce, we Włoszech, w Egipcie, przywódca rewolucji ludowej w Wenecji, nie mógł nie obudzić zainteresowań pisarzy. Dlatego trudno się dziwić autorowi tak żywo zainteresowanemu epoką polskiego Oświecenia jak Roman Brandstaetter, że obrał Sułkowskiego na bohatera swej nowej sztuki z tamtych czasów pt. „Znaki wolności” — chociaż wielkiej odwagi wymagało wejście w ślad żarliwego dramatu Żeromskiego, z nieuchronnym użarzeniem się na porównania z „Sułkowskim” autora „Popiołów”. Trudno z takiego porównania wyjść zwycięsko.

Do swej sztuki o Sułkowskim wniósł jednak Brandstaetter niepoślednie walory: talent dramatyczny i gruntowne obeznanie się ze sceną; wycucie teatralnego efektu; zmysł do sztuk historycznych; lepszą, niż była ona możliwa za czasów Żeromskiego, znajomość realiów epoki. Jego sztuka — której prapremiera w Teatrze im. Stefana Jaracza w Łodzi nie będzie chyba jedynym wystawieniem „Znaków” — odznacza się żywą akcją dramatyczną, wyrazistymi sytuacjami, trafia do widza i jedna go

dla bohatera i autora sztuki. Właściwa Brandstaetterowi maniera stylistyczna i posługiwanie się efektami nie najpierwszej próby, dochodzą i w „Znakach wolności” do głosu. Ale nie mogą zamazać ideowego sensu dramatu, nie mogą przesłonić znaczących jego wartości — sztuka ma wiele danych, by odnieść poważny sukces i trafić do szerokiego mas widzów.

Pod jakimi znakami wolności walczy, walczyć pragnie Sułkowski? Jakim znakiem poświęca swój wielki talent i oddaje życie w ofierze?

Żeromski już w pierwszym akcie „Sułkowskiego” uchwycił z całą dramatyczną siłą główną sprawę Polski z epoki Oświecenia: tragiczną dolę pańszczyźnianych chłopów. Tego tematu nie mógł również pominąć Brandstaetter, i w istocie, ukazując Sułkowskiego jako bezkompromisowego zwolennika uwłaszczenia i wyzwolenia chłopów, wprowadza do sztuki dwu niewolnych chłopów z rydzynskiej ordynacji Sułkowskich, którzy zbiegli i następnie znaleźli się w legiach Dąbrowskiego. Niestety, ani ideowo, ani dramatycznie temat ten nie jest przez Brandstaettera rozwinięty jakby należało i nie wytrzymuje porównania z artystycznie — społeczną wizją Żeromskiego. Obaj chłopcy występują w sztuce Brandstaettera w sytuacjach nierealistycznych i przez to wydają się nieprawdziwi. Zamierzony efekt zawodzi — i to pomimo dobrej realistycznej gry obu wykonawców: Andrzeja Szalawskiego i Włodzimierza Kwaskowskiego.

Lepiej, bardziej przekonująco zapisuje się sam Sułkowski jako republikańsin o postępowych, antyfeudalnych przekonaniach. Jego patriotyzm i cnota podkreśla silnie młody aktor Jerzy Walczak, stwarzając postać, jaką chciał mieć autor. Temu Sułkowskiemu wierzy się, że stoi niezłomnie przy ideałach rewolucji i że ich nigdy nie zdradzi. Słabiej zaznacza się natomiast wielkość Sułkowskiego jako statysty i stra-



„Znaki wolności” — scena zbiorowa.

tega; ale to już raczej wina autora, któremu łatwiej poszło z ukazaniem prawości i odwagi Sułkowskiego niż jego mądrości.

Wspaniałym tłem epickiego dramatu Żeromskiego jest Wenecja dożów. Tajemny świat intryg weneckich optymatów i lud wenecki, obalający tyranie możliwych, grają też niemałą rolę w sztuce Brandstaettera. Autor nie szczędzi nam arcy mocnych efektów, ale obraży weneckie Brandstaettera nie wytrzymują krytyki, tym bardziej, że poza Leonem Łuszczewskim, możliwie umiarkowanie wcielającym przewrotność prokuratora Pesaro, grane są słabo lub wręcz źle.

Żeromski prowadzi Sułkowskiego aż do Egiptu. Brandstaetter koncentruje się na włoskim okresie życia Sułkowskiego, który za to pokaźnie rozbudowuje. Niespornym tu jego osiągnięciem jest portret komendanta garnizonu francuskiego w Wenecji, generała Capignac, cynicznego żołdaka i złodzieja (gra Emil Karewicz).

Daje również Brandstaetter prolog, dziejący się w Polsce, w Rydzynie. Występują tu dwaj bracia Sułkowscy (grają Leopold Zbucki i Konrad Łaszewski), wcielenie feudalnej, gubiącej państwo magnaterii polskiej. Postać ordynata Sułkowskiego jest niewątpliwie najlepiej narysowaną w „Znakach wolności” i gdyby Brandstaetter utrzymał

dalsze akty sztuki na poziomie prologu, dałby utwór wręcz znakomity. Niestety, w dalszym przebiegu dramatu zwracają ideowe i fabularne budzą zastrzeżenia i rozmaite wątpliwości.

A ów „mąż przeznaczenia” ówczesnej Europy, i Sułkowskiego osobieście, Napoleon Bonaparte?

Żeromski uniknął czynnego włączenia Napoleona do akcji dramatu, w zakończeniu sztuki (wstrząsającym swą siłą dramatyczną) każe mu tylko w milczeniu salutować skrwawiony mundur — tego, którego z zimną krwią wysłał na pewną śmierć. Brandstaetter daje Napoleonowi szerokie miejsce w dramacie, pokazuje go jako dowódcę i jako męża Józefiny. Duet Napoleona i Józefiny, i cały Napoleon, to porażka autora i teatru. Nie wierzymy ani w wielkość tego Napoleona, którego nam wywołuje z przeszłości autor, ani w prawdziwość tej nakręconej na jeden ton, nieznośnej figury, którą gra Czesław Przybyła. Aniela Świdorska wygląda stylowo — poza zewnętrzność kostiumu i urody nie sięga.

Teatr włożył wiele starań w jak najbardziej kulturalne i wystawne zaprezentowanie „Znaków wolności”. Reżyserzy Leon Łuszczewski i Konrad Łaszewski wypunktowali wszystkie efekty tekstu, oprawa scenoplastyczna Ewy Sobolewskiej jest bardzo udana, w niektórych fragmentach wprost doskonała.

OSTATNIA ZBRODNIA HIPOLITA

Dokończenie ze str. 15

Dwóch pozostałych rybaków blondynek prowadził do kajuty szypra. Zatrzymali się przy kole sterowym i zabrali ze sobą rannego. Kajuta nie miała mocnego zamknięcia. Trzeba było pilnować więźniów. Na warcie stał przed drzwiami i nerwowo palił papierosa. Jego wspólnik pobiegł ujarzmić pod pokładem kutra ostatniego przeciwnika, motorzystę. Należało go zmusić, aby rozwinął największą szybkość: dziesięć węzłów na godzinę.

Morze burzyło się coraz bardziej. Na błękitne nad słońcem niebo wpełzały skłębione chmury. Daleko na horyzoncie zacierały się małe punkciki płynące na zachód flotyli. Skradziony kuter umykał na północ. Dwa żółtoseledynowe kutry flotyli rybackiej rzuciły się za nim w pogoń. Nadziei złapania jednak nie było żadnej. Wszystkie trzy kutry rozwijały tę samą szybkość.

VIII

Burza lipcowa pojawia się na Bałtyku szybko jak deszcz w górach. Uciekający kuter zapadał się w głębokie, zielono-sine doliny wody, przebiegał dziobem atakujące węż fali, aby za chwilę znów zawisnąć nad rozdartą przepaścią.

Złotnicki kurczowo trzymał się żelaznych schodków, prowadzących do kajuty z zamkniętymi rybakami. Był mokry, zziębnięty i cały dygotał nerwowo. Przez zachmurzone niebo przebiegały srebrne zygzaki błyskawic, spiętrzone fale wzbijały białe kryzy piany, a wiatr ciskał nimi na belki i szalupy kutra. Hipolitowi zrobiło się niedobrze. Zgrabiłymi palcami otworzył zasuwkę drzwi i na wpół żywy wtoczył się w zadymione papierosami, spokojne wnętrza kabiny. Osunął się na podłogę i zaczął wymiotować. Z bezwładnej jego ręki wypadł rewolwer. Otoczyła go niebieska, a później żółta pustka. Nie czuł już, że rybacy wiążą mu ręce i wrzucają do komórki, w której miał szczęśliwie dopłynąć do Szwecji. Męczyły go torsje, bolała głowa, serce. Utracił możliwość reagowania na otaczające go wydarzenia.

Ciężko ranny rybak jęczał na prycy szypra. Rana, obandażowana porwaną koszulą, boleśnie krwawiła. Prosił, aby mu podać wody. Dwóch uwolnionych ry-



Szyper nie przewidywał kłeski...

baków naradzało się. Kiedy młodszy z nich zapoznawał się z rewolwerem Złotnickiego, starszy, spod kaptura którego wychylała się pomarszczona, czerstwa od wiatru twarz, wylewał z manierki wodę do ust cierpiącego.

Szyper walczył z kołem sterowym. Rybacy domyślili się, że drugi jasnowłosy uciekinier musi być przy motorze. Ostrożnie, chwytając się liny i poręczy, szli po rozkołysanym pokładzie.

Na dnie kutra, w maszynowni, zastali dramatyczny widok. Motor pracował z wysiłkiem, bez żadnej kontroli, a na podłodze walczyło dwóch mężczyzn. Mechanik był na wierzchu i chciał wyrwać rewolwer z dłoni mężczyzny. Twarz współnika Hipolita Złotnickiego była bladą, oczy zęzłe i zwięzłe, a usta wykrzywione bolesnym grymasem. Rybacy domyślili się, że podobnie jak starego blindziarza, musieli i jego schwycić gwałtowne ataki morskiej choroby. W momencie, gdy zbliżał się do walczących, blondynek usiłował zwrócić lufę rewolweru w głowę leżącego na nim przeciwnika. Rozległ się strzał i kula trafiła w rozkołysaną lampę. Kiedy w rękach rybaków zabłyśły ogniki sztormowych zapalek, były sutener i esesman leżał już rozbrojony.

Szyper nie przewidywał kłeski. Myślał raczej o tym, że sam jeden nie zdoła ze sztormu wyprowadzić kutra,

Oszłomiony, nie opierał się rybakom. Wściekłość przyszła dopiero później. Gdy za uwięzionymi przez załogę spiskowcami zamknęły się drzwi kajuty, wycie trzech pokonanych ludzi połączyło się z cichymi odgłosami mijającej burzy. Szczęście zawiodło. Mieli fałszywe karty.

IX

Kiedy latem zza chmur wychodzi słońce po burzy morskiej, na białym piasku plaży umierają przezroczyste meduzy. Koło mola portów siedzą na wodzie mewy, a ich krzyk łączy się ze śmiechem opalonych dzieci zbierających pomarszczone muszki.

Na brzegu sopockiej plaży leżał siwy staruszek i przez lornetkę oglądał usypiające fale zatoki. On pierwszy dostrzegł małej kunkik zbliżającego się kutra. Wiedział coraz dokładniej jego katury, a później nawet rozróżniał stojących na pokładzie rybaków. Było ich dwóch. Jeden trzymał w rękach koło sterowe, a drugi, kiedy stateczek zbliżył się do brzegu, nieustannie sygnalizował chorągiewkami.

Po kilkunastu minutach na falach gdyńskiej zatoki pojawiła się długa łódź pościgowa. Płynęła dwa razy szybciej od rybackiego kutra i wkrótce jej załoga wdrapała się na pokład małego stateczku.

Staruszek dziwił się. Jego polowa, dalekosiężna lornetka wyraźnie już rozróżniała twarze rybaków i marynarzy. Zauważył on, że na rybackim kuterze znajdowało się jeszcze trzech, przedtem niewidocznych, mężczyzn. WOP-iści nałożyli im na ręce kajdanki, a potem sprowadzili do swojej łodzi. Za nimi niesiono sztywne ciało człowieka. Musiał widocznie nie żyć, bo przykryto go białym płótnem żagla.

W jednym z trzech aresztowanych staruszek poznał mężczyznę, który dwa dni przedtem siedział na ciepłym piasku sopockiej plaży, ubrany w kapelusz, płaszcz i marynarkę. Próbował z nim wtedy nawet nawiązać rozmowę, ale mężczyzna nie miał ochoty na pogawiedkę.

Tym człowiekiem był Hipolit Złotnicki, który w kajdankach na rękach wracał z ostatniej podróży.

JERZY GRYGOLUNAS

FOTO

KORESPONDENCI DONOSZA

INACZEJ JEST TERAZ W HOTELACH ROBOTNICZYCH KALISZA

W ubiegłym roku otwarto w Kaliszu trzy hotele dla przyjeżdżających robotników. Początkowo hotele te nie były dobrze wypełniane, rolę kierownictwa ich bowiem zapomniało zupełnie, że mieszkańcy hotelu trzeba otoczyć opieką i stworzyć im warunki kulturalnej rozrywki czy też możliwości uczenia się. Toteż początkowo robotnicy nie wiedzieli, co czynić z wolnym od pracy czasem, snuli się po ulicach miasta, obijali się po salach hotelu, a część z nich zabawiła się grą w karty czy pić wódki. Dopiero gdy w hotelach urządzono świetlice i czytelnie, gdy zorganizowano koła Wszechniczy Radiowej, kursy języka rosyjskiego i zespoły dobrego czytania — życie robotników popłynęło innym torem. Znikły karty, skończyła się wódka.

Każdy bowiem mieszkaniec hotelu znajduje ciekawe, interesujące go zajęcia i miłą rozrywkę po pracy zawodowej. Wielu — młodych i starszych — dopełnia swego wykształcenia w kołach Wszechniczy Radiowej; inni uczą się języka rosyjskiego; zespoły dobrego czytania cieszą się wielkim powodzeniem, zwłaszcza u starszych. Np. książka „110 pomysłów racjonalizatorskich w budownictwie” i dyskusja, jaką wywołała ona na temat omawianych w niej usprawnień, była bardzo żywa i niejednemu pomogła w jego pracy zawodowej. Prasówki, redagowanie gazetki ściennej, praca w kołach TPPR czy wreszcie świetlica wyposażona w różne gry — umilają czas mieszkańcom hotelu i ułatwiają ogólny ich rozwój.

T. Kacmarek, Kalisz



W czytelni hotelu robotniczego Zarządu Budowlanego Nr 2 w Kaliszu zawsze jest pełno



Piękny fragment Ratusza

Poznań — jedno z najstarszych miast w Polsce, obchodzą obecnie tysiąclecie swego istnienia i siedemsetną rocznicę nadania praw miejskich.

Z tej okazji przez cały wrzesień w okresie „Dni Poznania” przybywają do miasta liczne wycieczki. Komitet organizacyjny zapewnił ich uczestnikom wiele imprez artystycznych, kulturalnych i rozrywkowych. Liczne wystawy ilustrują historię miasta, pokazują osiągnięcia i perspektywy dalszego rozwoju.

Ale jedną z największych i najciekawszych przyjemności jest chyba zwiedzenie Poznania, a zwłaszcza odbudowującego się Starego Miasta. Spośród niezliczonych ruśztołów wylaniają się zabytkowe kształty tej dzielnicy. Zrekonstruowano Stanisławowski Odwach i domki budnicze, odbudowano 22 zabytkowe kamieniczki, posunięto

daleko naprzód prace przy samym Ratuszu, wzniesionym w XII wieku, za panowania Przemysława II. Początkowo była to budowla gotycka. Późniejsze przeróbki, po licznych pożarach miasta, a zwłaszcza przeróbki w w. XVI — dokonane przez budowniczych z Włoch — nadały mu oblicze jednego z najpiękniejszych zabytków Renesansu w północno-wschodniej Europie.

Na Rynku ustawiony zostanie jeszcze przebieg z XVI wieku, a w czterech rogach — fontanny z mitologicznymi postaciami, symbolizującymi porę roku.

Oprócz Starego Rynku, stanowiącego część grodu Przemysława II sprzed siedmiuset laty, odbudowany będzie również i Zamek ze starą wieżą.

Pod kierunkiem Urzędu Konserwatorskiego trwają prace przy odbudowie Katedry na Wyspie Tumskiej. Szerokie pole inicjatywy otwiera się przed urbanistami przy odbudowie dzielnicy Chwaliszewo i Śródka, ongi samodzielnych miast średniowiecznych, które do dziś zachowały charakterystyczny, dawny układ ulic. Powstają



Konserwator Muzeum Narodowego w Poznaniu, Szmaj — przy rekonstrukcji osiemnastowiecznego herbu Poznania.



Tak będzie wyglądała poznańska trasa W-Z

tam obecnie bloki mieszkalne. Na Placu Wolności podnosi się z ruin zabytkowy gmach biblioteki Raczyńskich, jeszcze jedno świadectwo realizowanych w szybkim tempie planów rozbudowy nowego Poznania.

Poznań ze względu na swe znaczenie gospodarcze i kulturalne — oświatowe jest miastem o dużych perspektywach rozwoju. Plan przewiduje, iż liczba jego mieszkańców wzrośnie z dzisiejszych 350 tysięcy do 600 tysięcy.

Robotnicza dzielnica Rataje liczyć będzie 100 tysięcy ludności. Już w tej chwili buduje się tam potężne zakłady przemysłowe, przede wszystkim wielki obiekt 6-latk — fabrykę kombajnów, która już w przyszłym roku rozpocznie produkcję.

Generalnej przebudowie ulegnie śródmieście Poznania. Miasto otrzyma arterie przebiegające z Wschodu — Zachodu oraz Północy — Południa. Część trasy W-Z ze wspieranym mostem Marchlewskiego jest już gotowa. Na miejscu Cytadeli, z której cegła służy obecnie do budowy robotniczych mieszkań — stanie Wojewódzkie Centrum Sportowe. Miasto otrzyma wspaniały Dom Kultury i Filharmonię obok kompleksu budynków WRN.

Rosnie nowy Poznań, przebudowywany i odbudowywany z myślą o dalszym rozwoju miasta, z myślą o zapewnieniu estetycznych i wygodnych warunków jego mieszkańcom.

H. Rzycka, Poznań

JEDYNE W POLSCE TECHNIKUM TYTONIOWE

Przy Radomskiej Wytwórni Papierosów istnieje jedyne w Polsce Technikum Tytoniowe, kształcące przyszłych techników — technologów przemysłu tytoniowego.

Uczniowie, wzorując się na swych starszych kolegach z hal produkcyjnych, współpracując w wykonywaniu planów; nierzadko przekraczają oni dzienne normy do 200% i wykańczają przed czasem zadania produkcyjne.

Dziewczęta pracują nieraz od chłopców; w brygadach roboczych wykonują wraz z kolegami narzędzia i części maszyn.

Pod troskliwą i fachową opieką majstrów i racjonalizatorów Radomskiej Wytwórni Papierosów uczniowie Technikum kształcą się na wykwalifikowanych pracowników przemysłu tytoniowego.

Ada Majewska, Radom



Bolesław Farbisz, racjonalizator Radomskiej Wytwórni Papierosów, jest instruktorem Technikum Tytoniowego

DZIECI KOREAŃSKIE U JUNACZEK Z „SP”



Młodzież szybko nawiązuje przyjaźń. Kim-Sho-Ran zaprzyjaźniła się z Jadwigą Hajduk ze Szczętyna

Li-Shio-Sik z uporem i wagą bronił swych kolegów przed zarzutem autora, iż zepsuli rower. „Nie popsuli zupełnie — twierdził stanowczo — tylko troszeczkę”.

Mali goście opowiadali o swym codziennym dniu, o nauce, kłopotach i zabawach, o swym życiu w Polsce, gdzie mają możliwość uczenia się i spokojne dzieciństwo. W ich słowach stała się rzeczywistość wspomnień i miłość do odległej Korei.

— Gdy skończę szkołę — opowiadała Kim-Sho-Ran — pójdę do Technikum Budowlanego, by potem budować Pchian.

Junaczkom ogromnie podobały się tańce i piosenki koreańskie, ale największy zachwyt wzbudziła „Pieśń o towarzyszu Bierucie”, odśpiewana przez Koreańczyków po polsku. Czuli się nawet trochę zażenowani, że nie znają pieśni w ojczystym języku gości.

Przed odjazdem dzieci otrzymały piękne podarunki, własnoręcznie wykonane przez młodzież: wspaniałe modele okrętów, maszyn i wózków górniczych, komplety narzędzi stołarskich i mechanicznych, lalki, małe mebelki, serwetki, kolorowe kredki.

Rozpromienione twarze dzieci i radosny śmiech świadczyły najlepiej, że dobrze spędzili czas w towarzystwie swych starszych przyjaciół z brygady SP.

K. Gromkova, Warszawa



Kim-Sho-Ran pojeździe do Technikum we Wrocławiu.

— BOŻKÓW PRZODUJE W ODBUDOWIE STOLICY —



Komitet Gminny Odbudowy Warszawy w Bożkowie jest bardzo czynny. W tej chwili radzi nad planem miesięcznym zbiórki we wrześniu

W różnej formie bierze udział kłódzki świat pracy w odbudowie stolicy. Kamieniarze z Radkowa dostarczają materiału budowlanego z kłódzkich skał, pracownicy Rejonowej Spółdzielni Przemysłu Ludowego i Artystycznego wykonują urządzenia wnętrza, a — wszyscy wpłacają miesięczne składki na FOS.

Gmina Bożków od kilku lat przoduje w świadczeniach na odbudowę Warszawy. W roku ubiegłym zdobyła pierw-

sze miejsce w województwie wrocławskim, uzyskując dyplom uznania i nagrodę przechodnią. Dotychczas wykonała już 80 proc. planu rocznego, a do końca roku znacznie go przekroczy.

Gdy kłedy mieszkańcy gminy Bożków przyjadą do Warszawy, z tym większą radością i satysfakcją oglądać będą jej nowe piękne budynki i szerokie ulice, wiedząc, że wyrosły one i z ich wysiłku.

L. Makowski, Polanica

FOTOGRAFIA NA CODZIEN SWIATLOMIERZ OPTYCZNY

Znacznie mniej dokładnym i precyzyjnym przyrządem niż światłomierz elektryczny, o którym ostatnio pisaliśmy, jest światłomierz optyczny. Działanie jego polega na zasadzie stopniowego zaciemniania pola widzenia małej lunetki. Po skierowaniu jej w stronę fotografowanego przedmiotu, odczytujemy najwyższą cyfrę widzianą na jej tle. Liczba ta na tabelce z zewnątrz ma swój odpowiednik czasu naświetlania.

Wynik, podany przez światłomierz optyczny, nie jest obiektywną oceną natężenia światła. Zależy od wzroku spoglądającej przez lunetkę osoby i wrażliwości oka, na który ma wpływ różne okoliczności.

Oko nasze reaguje bardzo wolno na duże różnice w natężeniu światła. Gdy wieczorem wyjdziemy z jasno oświetlonego pokoju na ulicę lub gdy wejdziemy do ciemnej otoczonej, dopiero po upływie kilku minut dostrzegamy otaczające nas przedmioty. Również gdy spoglądamy na stopniowo ciemniejące liczby światłomierza, po pewnym czasie dostrzegamy ich znacznie więcej, niż bezpośrednio po przyłożeniu lunetki do oka. Zjawisko to wystąpi w silnym stopniu szczególnie w zmie lub w pełni lata, gdy wzrok jest porażony światłem słonecznym odbijanym przez śnieg, błyszczący asfalt lub wodę.

Chcąc więc otrzymać możliwie dokładne wyniki, musimy przed spojrzaniem w lunetkę światłomierza przyzwyczaić oko do zmiany w natężeniu światła. Zakładamy więc na kilka minut przedtem ciemne okulary albo trzymamy przez jakiś czas zamknięte powieki.

Najdostępniejszy i najprostszy zarazem przyrząd, określający czas naświetlania — to tabela fotograficzna. Niesłusznie lekceważona, początkującemu fotoamatorowi oddać może wielkie usługi, uchronić go od rażących błędów w naświetlaniu. Wyniki podawane przez tabelki dalekie są wprawdzie od ścisłości, gdyż nie zawsze wiadomo, do jakiej grupy według tabeli zaliczyć można np. fotografowany krajobraz — czy to krajobraz z przednim planem, czy to krajobraz z ciemnym lub jasnym tłem. Trudno też określić, czy słońce jest przyćmione, czy tylko lekko zachmurzone. Ażeby więc nabrać doświadczenia w ustalaniu czasu naświetlania, trzeba prowadzić systematycznie dzienniczek fotograficzny. Notujemy w nim: 1) numer kolejny filmu, jego nazwę i czułość, 2) miejscowość, datę, godzinę zdjęcia, 3) treść zdjęcia, 4) przysłone, 5) migawkę, 6) zastosowanie filtrów, 7) rodzaj oświetlenia, 8) uwagi. Po wywołaniu filmu szacujemy negatyw, a prowadzone starannie notatki orientują nas w popełnionych błędach. Po pewnym czasie zdobywamy tyle doświadczenia, że posilując się samą tylko tabelką i notatkami, osiągamy już nieomylnie dobre wyniki.



Dzo-Kuk-Chion, zapalony rybak, uszczęśliwiony dziękuje junaczkom za doskonałą wędkę

GORĄCA WIEŚ

AMBINANITELO

WŚRÓD zaproszonych gości znajduje się także nauczyciel Ramaso i wójt Rajaona. Siedzą na honorowym miejscu razem z Dżinarivalem i moją teściową — rafuzuko. Wszyscy są w świetnych humorach i zabawiają się wygłaszaniem okolicznościowych przysłów.

— Oby syn twój — wznosi Rajaona ku mnie kieliszek rumu i śmieje się poprzez zamglone nieco oczy — oby syn twój, vazaho, stał się wielkim złodziejem bydła.

Znane i ulubione malgaskie życzenie, skierowane tym razem do vazahy, wywołuje wśród obecnych burzę wesołości, tym bardziej, że wypowiada je szef kantonu, stróż prawa.

— Ludzie — przytacza Dżinarivelo inne przysłowie — są jak gotujący się ryż: raz u góry, raz na dole. Ty, vazaho, jesteś teraz u góry.

Podchodzi do mnie jakiś wujek dziewczyny i żartobliwie ostrzega:

— Nie licz kurczaków, dopóki się nie wylęgną. Jeszcze nie wiesz, jak ci będzie z Velomody.

— Żli nie mają rogów! — dodaje kuzyn Velomody, co znaczy, że ludzi z błędami nie można poznać od razu.

— A jednak — śmieje się ktoś inny — jeśli coś ma się udać, to potrzeba zawsze dwóch albo dwojga. „Jednym palcem wszy nie złapiesz”.

Po chacie roznosi się chichot uznania. Goście przechylają się w stronę Velomody, siedzącej cicho i skromnie w cieniu, pod ścianą. Tego wieczoru jeszcze ani słowa nie powiedziała. Czyniąc przytyk do jej milczenia,

jedna ze starszych ciotek, o twarzy złośliwego lemura, siostra mej teściowej, stwierdza:

— Trudno do niej zastosować nasze ostrzeżenie: Nie bądź jak piewik, którego głos wypełnia całą puszcę, chociaż same żyjątka takie małe... Głos Velomody jakoś nie wypełnia tej chaty. A ty, vazaho, znasz jakie odpowiednie przysłowie?

— Znam.

Wszyscy wpierają we mnie zaciekawione spojrzenia.

— Jest wiele roślin — przytaczam zasłyszane kiedyś zdanie — ale tylko trzcina cukrowa słodko smakuje.

Innymi słowy: jest wiele dziewczyn, ale tylko jedna przypada mi do gustu.

Goście wybuchają radością, że wygłaszam tak uprzejmą i dowcipną przenośnię.

Zanim goście mnie opuszczają, teściowa dokonuje obrzędu, który wydaje się wszystkim, z wyjątkiem nauczyciela Ramaso i Rajaony, ważnym uzupełnieniem uroczystości. Mianowicie rafuzuko przynosi z kuchni płonące szczapy drzewa i z obydwójga drzwi małej chaty wyrzuca je daleko w powietrze. Głównie zataczając łuk sypią w nocy pióropuszem czerwonych iskieł.

— Dlaczego to? — pytam.

— Żeby odpędzić złe duchy krążące dokoła chaty — wyjaśnia teściowa.

— W pobliżu mej chaty duchów nie ma — uspokajam ją.

— Oo, vazaho, skąd to wiesz? Duchy są wszędzie.

— Nie obawiaj się. Velomody będzie pod moją opieką.

— Velomody tak. Ale jej dziecko?

— Jakie dziecko?

— Jakie będziecie mieli.

Około północy rodzina żegna się i chata pustoszeje. Niebawem odprowadzam na dwór ostatniego gościa, Bogdana.

22. VELOMODY

I WALECZNA OSA

VELOMODY, siostra Benaczechiny a moja malgaska vadi, ma szesnaście lat i zupełnie inny pogląd na świat. Ona już wie, czego chce. Chce dziecka. Pięknego, śniadego dziecka. Cała jej krew woła o takie dziecko, wszystkie nerwy pragną dziecka. Jest to wszechpotężna żądza, i treść jej snów na jawie, i jej nocnych rojeń. Doznania zmysłów i przeżycia ciała schodzą na dalszy plan. Pierwsza rzecz to dziecko, i nawet mąż jej, którego na swój sposób kocha i uznaje, to tylko środek do tego celu, narzędzie jej marzeń. Tak oto najpotężniejszy instynkt kobiecości odzywa się w młodym dziewczęciu i w tej czystej pierwotności dochodzi swych praw.

Lecz skoro Velomody żąda dziecka, to i ja w zamian żądam od niej innej przysługi. Żądam, by brązowa dziewczyna pokochała wszystkie dobre zwierzątka tak, jak ja staram się je kochać: bezinteresownie. To, niestety, dla Malgaszów jest trudne zadanie, prawie ponad siły.

Gdy Velomody wałęsa się ze mną po polach na skraju puszczy, wita radośnie, owszem, każdego dronga, czarnego kosa, bo to ptak-przyjaciel szczepu Betsimisaraka. Lecz inne ptaki są jej obojętne i po prostu ich nie dostrzega. Zadowolona, że może mi nosić przyrządy do ło-



Ścieżka wiedzie wzdłuż Antanambalany, w górę rzeki...

wienia owadów, śmieje się, owszem, do wspaniałych motyli orizabus, bo to dobre duchy doliny. Nigdy ich nie zabije. Lecz innych motyli nie uznaje; a jeśli je schwyci, brzydzi się nimi i łamie im skrzydełka. Osy zadusza patykami, skoczkom urywa głowy. Obcy jej jest świat serdecznych wzruszeń w przyrodzie. Velomody przeczuwa podświadomie przepaść między nami, boleje nad tym i trochę się boi o swe przyszłe urodziny dziecko.

Lecz któregoś dnia mijają jej obawy, gdyż dziewczyna spotyka nad ścieżką małą osę i zakochuje się w niej. Zakochuje tak zapamiętale, że pozbywa się malgaskiej powściągliwości i nawet głośno chwali się wobec mnie, że osa jest jej siostrą.

Osa zbudowała na gałęzi krzaka gniazdko w formie beczulki, w której znajduje się poczwarka, dziecko osy. Matka otacza swe potomstwo najtroskliwszą opieką siedząc w pobliżu na straży. Biada zbliżającym się intruzom. Osa rozbzyka się groźnie skrzydłami, zerwie się do lotu i będzie jak wściekła szumiała dokoła, choćby to było dokoła lemura, ptaka dronga lub człowieka.

Zapałczywość odważnej matki nagłe olśniewa dziewczynę i otwiera jej oczy. Osa staje się jej duchową przyjaciółką, godłem walczącej samicy, świętą istotą, fadi.

Dwa macierzyńskie uczucia, ludzkie i owadzie, święcą swe wspólne gody. Tworzy się tak drogi Malgaszom sojusz, w którym człowiek czerpie siłę z duszy zwierzęcej. I nie tylko siłę: Velomody znajduje równocześnie pomost do białego męża. Kochając osę utwierdza swą wiarę w dziecko. Jest szczęśliwa.

Patrzę z boku na przeżycia dziewczyny i dziwię się zmianom, jakie zachodzą. Zmianom u siebie. Chciałem nakłonić Velomody do moich przyrodniczych wierzeń, a oto staje się inaczej: to ona wciąga mnie na swoje tory. Na tory, w których chyłę czoło przed rozpętanym żywiołem macierzyńskiej miłości. I gdzie jest heroiczna, zaciepka, czcigodna, maleńka matka-osa. A obok osy — mała, waleczna dziewczyna, spragniona dziecka.

* * *

Drwię z brązowych mężczyzn pół serio, pół żartem i powiadam im w oczy, że są nieponie i cwane lenie. Sami mało co robią, a całą prawie pracę zwalają na słabsze barki niewiast. Czy to sprawiedliwy podział zajęć? Kto spełnia najcięższe roboty w polu? — Kobiety. Kto krząta się na ryżowiskach, sadi i zbiera ryż, znosi go z pola i gotuje? — Kobiety. Od rana do wieczora, zawsze i wszędzie — kobiety. Czy to w porządku?

Moji przyjaciele, stary Dżinarivelo, Tamasu i Berandro, słuchając takich poglądów wybałuszają na mnie zdumione oczy i rozdziawiają usta. Potem brązowych mężów ogarnia wesołość — vazaha ma zabawne pomysły! — a Dżinarivelo dobroliwie mi tłumaczy, że kobiety są na to stworzone. Tak było zawsze i tak zawsze będzie, bo to boskie przykazanie natury, a zresztą dlaczego zapominam, że mężczyźni przygotowują ryżowiska pod uprawę przeganiając po nich całymi dniami bydło?

— I któż by zresztą zastąpił kobiety w pracy na polu? — pyta Berandro.

— Jak to: kto? Mężczyźni! — odpowiadam. — W Europie wyłącznie mężczyźni orzą, sieją, koszą...

Na to nowy wybuch wesołości, a Tamasu nie może powstrzymać się od złośliwego pytania:

— Czy wobec tego w Europie mężczyźni także rodzą dzieci?...

Balszy ciąg w następnym numerze



Velomody przeczuwa podświadomie przepaść między nami...

OSZUSTWO — JEDNO Z WIELU

W arsenale oszustw wyborczych Herr Adenauera znalazł się również plakat zatytułowany „Pamiętajcie o nas — głosujcie na CDU“. Dwoje nędznie odzianych staruszków miało na tym plakacie reprezentować „nieszczęśliwych zbiegów“ z Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Oszustwo miało jednak bardzo krótki żywot. Zaledwie plakat wylepiono na murach miast zachodnio-niemieckich —

okazało się, że owi staruszkowie nie są wcale obywatelami NRD i nigdy tam nie byli. Są natomiast poddanymi Herr Adenauera. Johann Bier bowiem i jego małżonka, których podobizny znalazły się na plakacie, zamieszkują stale w miejscowości Sieglar koło Troisdorf (Niemcy zachodnie) przy Hauptstrasse 241. Rzekomi „nędzarze z NRD“ okazali się rzeczywistymi nędzarniami z państwa Herr Adenauera.

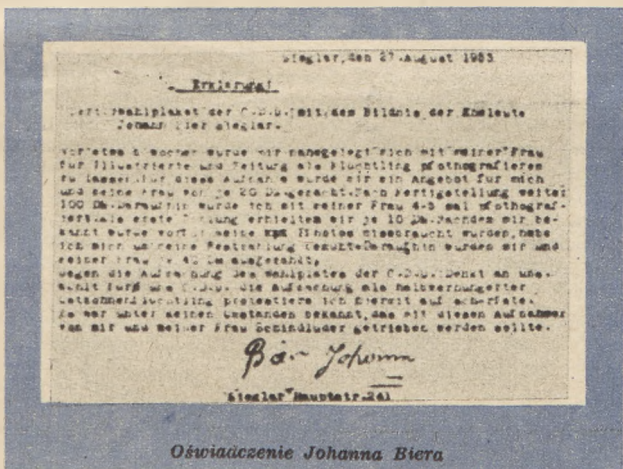


Oszukańczy plakat



Zdjęcie oryginalne

Skąd małżeństwo Bier dostał się na adenauerowski plakat, wyjaśnia pisemne oświadczenie Johanna Biera:



Oświadczenie Johanna Biera

Sieglar, 27 sierpnia 1953

WYJAŚNIENIE

odnośnie plakatu wyborczego CDU z podobizną małżonków Bier z Sieglar.

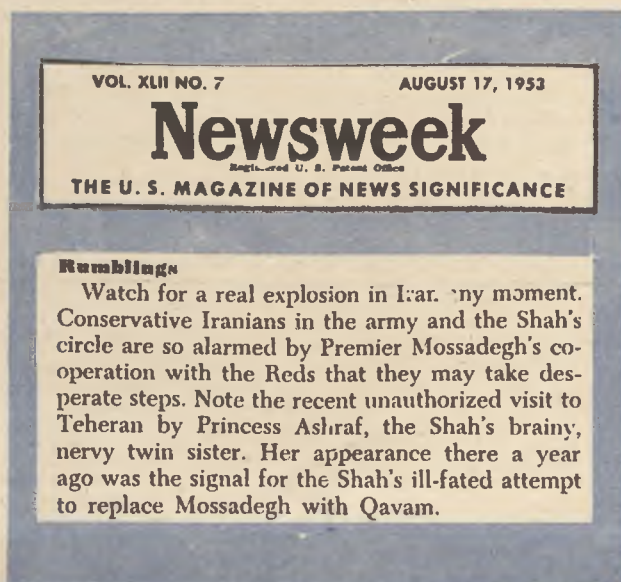
Przed blisko czterema tygodniami zaproponowano mnie i mojej żonie, byśmy pozwolili jako uchodźcy do zdjęcia dla ilustrowanego pisma. Miałem za to dostać 20 marek, a po wywołaniu zdjęć — dalszych 100 marek. Daliśmy się wtedy sfotografować 4 czy 5 razy i otrzymaliśmy po 10 marek. Kiedy się dowiedziałem, że ze zdjęć tych zrobiono inny użytek, zażądałem dopłaty reszty obiecanej sumy. Otrzymaliśmy wtedy z żoną po 40 marek.

Przeciwko użyciu naszego zdjęcia do plakatu wyborczego CDU, na którym figurujemy jako rzekomi uchodźcy ze strefy wschodniej, na pót zagłodzeni, protestuję jak najostrzej. Nie miałem pojęcia, że nasze zdjęcie użyte będzie w celach oszukańczych.

(—) Bier Johann

KTO MACZAŁ PALCE?

Kto maczał brudne palce w wewnętrznych sprawach Iranu i szykował tam zamach stanu — wynika jasno z notatki, zamieszczonej w numerze amerykańskiego tygodnika „Newsweek“ z dnia 17 sierpnia 1953. Pismo to na trzy dni przed wypadkami teherańskimi, które doprowadziły do dyktatury generała Zahedi'ego, donosiło:



Ramblings

Watch for a real explosion in Iran. Any moment. Conservative Iranians in the army and the Shah's circle are so alarmed by Premier Mossadegh's cooperation with the Reds that they may take desperate steps. Note the recent unauthorized visit to Teheran by Princess Ashraf, the Shah's brainy, nervy twin sister. Her appearance there a year ago was the signal for the Shah's ill-fated attempt to replace Mossadegh with Qavam.

„Oczekujcie w każdej chwili prawdziwego wybuchu w Iranie. Konserwatywni Irańczycy w armii oraz koła zbliżone do szacha są tak zaniepokojone współpracą premiera Mossadeka z czerwonymi, że gotowi są na krok rozpaczliwy. Zwróćcie uwagę na ostatnią wizytę siostry szacha, księżniczki Asraf, w Teheranie. Jej pojawienie się tam przed rokiem było sygnałem dla nieudanej próby zastąpienia Mossadeka przez Gavama“.

„Newsweek“ znany jest ze swych kontaktów z amerykańskimi kołami zajmującymi się zawodowo tzw. brudną robotą. Musiały one być bardzo pewne powodzenia swych irańskich planów, skoro pozwoliły wypłacić je żadnym sensacji dziennikarzom.

CZTERY LINIE OBRONY

Dokończenie ze str. 11

gólnie wtedy, gdy pomyłki gmatwają sprawy i tak zawiłe. Zdarzyło się więc, że „Barbara“ prosiła pisemnie, aby nabyto dla niej fotocelę selenową, potrzebne do doświadczeń. Zapotrzebowanie wędrowało, przepisano je — i w rezultacie nadeszła odpowiedź od władzy, która zmarszczywszy groźnie brew, zapytywała, po co potrzebne są fotole salonowe w kopalni węgla?

Prof. dr inż. Cybulski bardzo mnie prosił, abym nie pisał o tym, czego się dowiedziałem i co nazwałbym właśnie „brakującym ogniwnem“. Powiedział: „W ogóle nie piszcie o mnie — bo ja już nie jestem młody. Piszcie raczej o moich współpracownikach, gdyż ludzie się zmieniają — ale sprawa zostaje“. Dodał też, że „nie ma o tym co pisać — cóż to może kogo obchodzić?“

Ja jednak napiszę, gdyż jest to sprawa człowieka, którego postępowaniem kierować musi serce i szczerzy zapał, jeżeli praca jego ma być tak owocna jak dr inż. Cybulskiego, któremu przyniosła Nagrodę Państwową. „Rzuciłem Politechnikę Warszawską i pojechałem na Śląsk, gdzie brałem udział w powstaniu — ta dzielnica naszego kraju przemówiła do mnie szczególnie silnie“. I tam, na Górnym Śląsku, pewnego dnia w latach dwudziestych, ponuro zawył syrena kopalni i długo, długo nie milkła, rozdzierając powietrze niby dzwon na trwogę. Młody warszawiak inż. Wacław Cybulski, który wraz z innymi pośpieszył na miejsce katastrofy, zastał szary tłum kobiet, patrzących w milczeniu na zjeżdżające pod ziemię ekipy ratunkowe. Kobiety przywały do bramy kopalni i odprowadzały wzrokiem każdego, kto jechał miał z ratunkiem. „Kto raz choćby w życiu widział spojrzenie tych, którzy mają swych bliskich w niebezpieczeństwie pod ziemią, ten nigdy go nie zapomni. Jest to spojrzenie pełne wiary i zaufania, że pomoc będzie skuteczna, że zwróci ona rodzinom — ludzi kochanych“.

CZASY REALNYCH MARZEŃ

Teraz więc można wstawić brakujące ogniwo w łańcuchu wydarzeń, zaczynających się od wyjazdu na Śląsk młodego chemika z Warszawy, łańcuchu, w którym jest też później doktorat z górnictwa i do którego przybywają coraz to nowe, cenne ogniwa zwycięstw w walce z przyrodą. Ta ludzka strona opowieści nie miałaby jednak dobrego zakończenia, nie wyszłaby poza mrzonki idealisty, gdyby Wacław Cybulski był sam i gdyby nie pracował obecnie w czasach realnych marzeń.

Dopiero teraz znajduje pełne zrozumienie sprawa „Barbary“ i innych polskich placówek naukowych, gdzie walczy się o bezpieczeństwo pracy ludzi zatrudnionych przy węglu. Badania zespołu prof. dr inż. Cybulskiego — to tylko fragment tej działalności, przejawianej przez polskich uczonych. Ta walka toczy się na cichym froncie, bez rozgłosu w licznych stacjach badawczych w Polsce i nawet — poza jej granicami: naukowcy polscy wybrali się rudowęglowcem do Pakistanu, aby po drodze śledzić zachowanie się naszego węgla w różnych klimatach. W tej walce państwo nie tylko finansuje badania uczonych, ale i łoży wielkie sumy na wprowadzenie w życie ich pomysłów. W roku 1951 wydano w Polsce 94 miliony złotych, a w 1952 — 163 miliony złotych na inwestycje z dziedziny ochrony pracy w górnictwie.

Interesuje się tymi sprawami sam Pierwszy Budowniczy Sześciolatki. Prof. dr inż. Cybulski powiedział mi: „Przed wojną kopalnia doświadczalna „Barbara“ nie doczekała się wizyty nawet dyrektora departamentu kompetentnego ministerstwa. Obecnie przybył do nas Bolesław Bierut i zapoznał się dokładnie z naszymi pracami i zamierzeniami, odwiedzał nas Hilary Minc, Józef Cyrankiewicz oraz Ryszard Niezsporek. Takie zainteresowanie dla naszych prac — zobowiązuje nas“.

30 stycznia 1953 r. na spotkaniu z aktywem partyjnym i gospodarczym przemysłu węglowego Bolesław Bierut powiedział, że „kapitalistyczni baroni węglowi prowadzili rabunkową gospodarkę w węglu, grabili często bogactwa węglowe nie troszcząc się o przyszłość przemysłu węglowego. Świadczą o tym te liczne trudności w eksploatacji pokładów węglowych, które są jeszcze dziś wynikiem tej rabunkowej gospodarki“. I dodał: „Wszyscy pracownicy przemysłu węglowego wiedzą, jaki olbrzymi wysiłek został wykonany przez państwo ludowe dla przezwyciężenia katastrofalnego stanu w kopalniach, odziedziczonego w rezultacie panowania polskiej burżuazji i rabunku hitlerowskiego okupanta“.

Człowiek ma tylko jedno życie. Gdy wstępuje w szeregi tej „wielkiej armii“ górników niech wie, że teraz „Barbara“ i inne placówki naukowe pracują z wytężeniem, aby mu to życie zabezpieczyć i dać osłonę przy walce o węgiel.

LUCJAN WOLANOWSKI

Z NOWU...



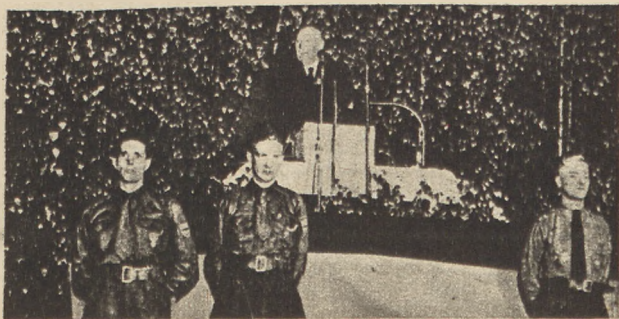
Feldmarszałek Kesselring za czasów Hitlera



dzis

Jak za najlepszych hitlerowskich czasów feldmarszałek Kesselring, zbrodniarz wojenny „ulaskawiony“ przez Amerykanów, występuje na zgromadzeniu faszystowskiego „Stahlhelmu“. Pod strażą bojówek w hitlerowskich mundurach Kesselring rzuca z trybuny odwetowe hasła. Po wieczu, odziany w oficerski płaszcz i czapkę, przyjmuje defiladę neohitlerow-

ców. Wszystko to dzieje się w Niemczech zachodnich, gdzie formalnie obowiązuje zakaz noszenia mundurów przez członków organizacji politycznych. Ale policja bońska, zajęta terroryzowaniem patriotów i postępowców niemieckich, popiera akcję neohitlerowców. Feldmarszałek Kesselring występuje więc dziś z niemiejszą butą niż za czasów Adolfa Hitlera.



Pod ochroną hitlerowskich bojówek.

„ŚWIAT” przypomina

W miesiącu Budowy Warszawy kilka obrazków z dawnej, a tak przecież niedawnej, przeszłości stolicy Polski!

SPRAWA PAŁACU STASZICA

Już więcej niż trzydzieste piętro wznosi się budowniczo Pałacu Kultury i Nauki. W roku 1931 w prasie warszawskiej ukazała się odezwa, nawołująca do składania ofiar na odbudowę Pałacu Stasza. W odezwie tej pięciu rektorów, dwaj marszałkowie sejmu i senatu, prezydent miasta i przewodniczący rady miejskiej pisali między innymi:

„W niesłychanie trudnych warunkach, wśród kryzysów ekonomicznych państwa i społeczeństwa przyszło Towarzystwu Naukowemu Warszawskiemu odbudować dziedzictwo. Nie zrażone wszakże żadną trudnością, podjęło się tego dzieła i oto w ciągu sześciu lat zdołało zdobyć i wydać na ten cel już około 1.400.000 złotych... Pozostaje jeszcze tylko ostatni wysiłek — urządzenie odbudowanego Pałacu wewnątrz. Niestety, fundusze Towarzystwa są już wyczerpane...”

Tak stała sprawa odbudowy dla potrzeb nauki i jedynego małego gmachu w Warszawie w trzynastu lat od objęcia władzy



Rozkosze podróży tramwajem warszawskim

przez polską burżuazję w nie zniszczonym zupełnie mieście.

KOMUNIKACJA

Narzekamy dziś, i często słusznie, na warszawską komunikację. Nie zawsze zdajemy sobie sprawę, że stanowi ona dziedzictwo zaniedbań międzywojennego dwudziestolecia. Przypomnijmy sobie, jak to wyglądało w tymże roku 1931:

Do fotografii zamieszczonej powyżej „Tygodnik Ilustrowany” dawał takie objaśnienie:

„Człowiek, mieszkający na Żoliborzu czy Forcie Dąbrowskiego, traci dziennie kilka godzin na siedzenie w tramwaju, jest stale zdeenerwowany, nigdy nie może się dokładnie z kimś umówić, zawsze się spieszy, pójdzie do teatru przedstawia się dlań jako hamletowski dylemat. Czy wiadomo, jak długo trzeba będzie „dzisiaj akurat” czekać na tramwaj, czy wiadomo, jak długo tenże tramwaj czekać będzie sam na mijankach, czy wiadomo, ile przeskód natrafi na swej drodze elektryków: przemarsz wojska, pochód komunistów, pogrzeb, zbiegowisko, zderzenie dorożki z taksówką...”

Zabawnie brzmią te żale burżuazji na komunistyczne pochody jako przeskody w miejskiej komunikacji, bo przecież zdaniem autora notatki przeskody nie stanowił ani brak taboru, ani katastroficzny jego stan.

NOCLEG POD MOSTEM

A położenie ludności miasta? Oto powyżej rysunek z burzawicznego piśmka humorystycznego „Mucha”, styczeń 1931 roku.

MURARZ BEZ ŚRODKÓW DO ŻYCIA

A może to był jakiś wyjątkowo pechowy okres, może potem było lepiej?

Oto na chybili trafili otwieramy rocznik reakcyjnego dziennika „Więpień Warszawski” i w numerze z dnia 14 kwietnia roku 1938 czytamy, co dzienna zresztą, rubrykę „Samobójstwa”:

„17-letnia Krystyna Strzałkowska (Siedlecka 17) otruła się kwasem solnym przy ulicy Targowej 64. Przewieziono ją do Szpitala Przemienienia Pańskiego. 21-letnia Stefania Krasowicz (Tarchomińska 5) wypila pół szklanki jody w bramie domu przy ulicy Targowej 32. Przewieziono ją do szpitala św. Łazarza. 24-letnia służąca Helena Mazurek (Smolna 38) otruła się esencją octową. Przewieziono ją do szpitala Ubezpieczalni na Sołec. Przyczyną samobójstwa był zawód miłośny. 20-letnia robotnica Zofia Nakoniecznikowa (Wojska 102) otruła się esencją octową. Przewieziono ją do szpitala św. Stanisława. 22-letni murarz Wacław Wolski (Ciepła 6) otruił się kwasem solnym z braku środków do życia. Przewieziono go w stanie bardzo ciężkim do szpitala na Czystem...”

Wiek samobójców od 17 do 24 lat. Murarz popełnia samobójstwo z powodu braku środków do życia!



Higieniczny nocleg w przewiewnym miejscu

MIESZKANIA WARSZAWY

W roku 1930 Czesław Klarner, wielokrotny minister skarbu w rządach sanacyjnych i jeden z czołowych kierowników kapitalistycznego „Lewiatana”, wydał książkę pt. „Polityka mieszkaniowa w Polsce i za granicą”. Znajdujemy w niej kilka ciekawych faktów dotyczących sytuacji mieszkaniowej ludności pracującej stolicy:

„Kurier Poranny” z dnia 9 lipca 1929 roku komunikuje: „Znowu kilka domów grozi zawaleniem. Na ulicy Czerniakowskiej wali się dom nr 48. Eksmisja zagraża 17 rodzinom. Dziś wyeksmitowanych ma być 5 rodzin z domu przy ulicy Siedleckiej nr 33”. A nowe domy nie rosną jak grzyby po deszczu...

Pan doktor Bychowski, prezes wydziału zdrowia w Magistracie m. st. Warszawy, daje następujący obraz sytuacji mieszkaniowej: „Rejestracja mieszkań warszawskich, przeprowadzona przez nasz wydział w zeszłym roku (1928), wykazała wprost dantejskie warunki... Trzeba leczyć... Mnie się wydaje, że jedynie słuszną będzie ta metoda leczenia, która by mniej więcej obciążała wszystkich obywateli naszego państwa. Bo wszyscy bez wyjątku — pomijając już względy humanitarne — są zainteresowani w tym, żebyśmy nie mieli wśród siebie ognisk zarazy fizycznej i moralnej”.

„Głos Prawdy” w numerze 261 z dnia 23 września 1929 roku podaje pod nagłówkiem: „Wielka bitwa nocna o mieszkanie na Grochowie”, wiadomość o utracie z powodu lokalu, w której były użyte noże, rewolwery i granaty ręczne.

Miesięcznik „Dom, Osiedle, Mieszkanie” w numerze styczniowym z 1930 roku podaje na stronie 19 rysunek z następującym wyjaśnieniem: „Dokument. Dół kloaczny, wynajęty przez niejakiego Wyczółkowski, właściciela domu Targowa 69, samotnej kobiecie z dzieckiem za 200 zł. odstępnego i 30 złotych miesięcznie”.

Droży Czytelnicy!

W Miesiącu Budowy Warszawy w większym stopniu niż zazwyczaj zwracamy uwagę na nasze miasto, dostrzegając różne braki i niedociągnięcia. Ob. Mieczysław Kalinowski na przykład, powracając z pracy przy porządkowaniu któregoś odcinka na Starym Mieście, poczynił takie uwagi:

„Naprawdę ze szczerem zapałem pracowaliśmy przy porządkowaniu przydzielonego nam odcinka na Starówce. Nie było wśród nas bumelantów i ta sama chęć spełnienia należycie swoich obowiązków ożywiła również inne grupy pracujące w naszym sąsiedztwie. Ale jest w naszym społeczeństwie zakorzeniona dawna wada, która — niestety — pleni się dalej jeszcze na dobre. Myślę o niechlujstwie niektórych obywateli (a jest ich niemało!), którzy w żaden sposób nie potrafią uszanować swojej i cudzej pracy. Jeśli Pan Redaktor nie wierzy, proszę się tylko przespacerować Krakowskim Przedmieściem i Starówką, a spostrzeże Pan tyle śmiecia, papierzyków, pestek ze śliwek, pudełek od papierosów i zapałek oraz innych rupieci, że można by tym wszystkim załadować solidnie całą, a może i dwie furmanki.

„Są oczywiście długie odcinki ulic w Warszawie, które są pozbawione dostatecznej ilości koszy na śmieci, ale nawet i w takich wypadkach można zbędny papier czy pudełko schować w kieszeni i wrzucić dalej przy pierwszym napotkanym koszu. Ale niestety, nikt nie pomyśli o tym i rzuca, gdzie popadło.

„Ja myślę, Panie Redaktorze, że na codzień mniej deklamujemy o pięknie naszego miasta, ale własnym zachowaniem, kulturą powszedniego życia przyczyniamy się do tego, aby nie psuć jego piękna, które z takim wysiłkiem i oddaniem tworzymy ku radości całego narodu”.

Uwagi ob. Kalinowskiego o „kulturze życia powszedniego” są na pewno słuszne, dlatego też dla rozwinięcia tej sprawy przytaczamy jeszcze jeden fragment z listu ob. K. S. z Brodnicy, który pisze m. in.:

„Sprawa, którą postanowiłem przedstawić, leży mi na sercu już od dłuższego czasu. Otóż u nas w Brodnicy jest kino, które nosi nazwę „Świt”. Bardzo lubię chodzić do niego, bo chętnie oglądam filmy — po pracy. Ale najgorsze dla mnie to to (i na pewno dla innych), że człowiek zamiast się rozweselić, musi zdenerwować się niemal za każdym razem. Seanse rozpoczynają się punktualnie, lecz publiczność przeważnie się spóźnia. Kontroler biletów musi prosić i zaklinać: „proszę wchodzić” — ale uparcie nikt tego nie słucha. Pewno nie chcą wchodzić, bo widzieli tę kronikę już dwa razy, dlatego też najwięcej widzów wchodzi po kronice. A nieraz bywa i tak, że niektórzy przychodzą w połowie filmu. Drzwi są w ciągłym ruchu jak na dworcu. Wiadomo każdemu, że to bardzo przeszkadza, wszak blask bije na ekran i często wskutek tego nic nie widać. Czasami jest tak, że ktoś gdzieś, a drzwi zostawi otwarte.

„Sądzę, że taki stan rzeczy jest niedopuszczalny i powinno się z tym raz skończyć. Przede wszystkim kierownictwo nie powinno wpuszczać tych wszystkich spóźnialskich i przestać tolerować niepunktualność widzów”.

Ten apel naszego Czytelnika, skierowany do kierownictwa kina w Brodnicy, znajdzie na pewno większą liczbę adresatów.

„ŚWIAT”



LĄDUJEMY NA MARSIE

Nauka nie odpowiedziała jeszcze ostatecznie na pytanie — kiedy pierwsi ludzie wyłądują na Marsie — ale już zbiera materiały na temat warunków takiego lądowania.

Przez długi czas atmosfery badaczy fakt, że atmosfera na Marsie jest bardzo rozrzedzona i pasażerowie przyszłego pocisku raketowego będą mieli w związku z tym poważne kłopoty z hamowaniem spadania przy lądowaniu. Niedawne badania uczonych radzieckich, amerykańskich i francuskich wykazują jednak, że warunki lądowania będą nienajgorsze. Atmosfera na powierzchni Marsa jest 10—11 razy rzadsza niż przy powierzchni Ziemi, ale ponieważ wszystkie

ZYWE PNIE

Zagadkowe zjawisko zaobserwowali leśnicy z okolic Jaity na Krymie. Zauważyli oni, że niektóre pozostałe w ziemi pnie krymskiej sosny, ściętej przed 10—12 laty, rosną dalej: pnie rozrastają się, pojawiają się na nich typowe swoje roczne, po których poznaje się wiek drzewa, cieknie z nich żywica...

Zaalarmowani pracownicy polskiej stacji Centralnego Instytutu Badawczego Leśnictwa wkrótce tę zagadkę rozwiązały. Po rozkopaniu ziemi i odsonięciu systemu korzeni okazało się, że korzenie „żywych pni” zrosły się w wielu miejscach z korzeniami stojących w pobliżu drzew, kosztem których „żywe pnie” mogły dalej rosnąć.

NOWE KSIĄZKI

STANISŁAW ZIELIŃSKI — Jeszcze Polska... (Czytelnik, s. 327, zł 15.—) — powieść znanego już czytelnikom autora, stanowiąca drugą część trylogii (cz. I: Ostatnie ognie). Pierwsze jej rozdziały przedstawiają stosunki społeczne w zachodnich Niemczech pod okupacją amerykańską i pokazują, jak równocześnie z komedią „denazyfikacji” odbywa się werbowanie hitlerowców do akcji dywersyjnych przeciwko państwom budującym socjalizm. W dalszych rozdziałach autor opisuje początki odbudowy w Polsce i ostrą walkę przeciwko siłom reakcji, którymi

kierują placówki dyplomatyczne państw imperialistycznych.

MIROSLAW ŻULAWSKI — Rzeka czerwona (Czytelnik, s. 184, zł 8.—) — książka o „brudnej wojnie”, którą francuscy imperialiści prowadzą przeciw narodowi wietnamskiemu, i o francuskim ruchu obrońców pokoju. Autor trafnie podkreśla kosmopolityzm przedstawicieli ginącego świata i internacjonalizm prawdziwych patriotów. Miejscem akcji jest Marsylia, Paryż oraz teren działań wojennych w Wietnamie. Wplecione w powieść losy byłego andersówca Wieckiego, ginącego za cudzą i złą sprawę w dżungli, malują mocną barwą los tych Polaków, którzy wyrzekli się ojczyzny.

NIETYDANA KSIĄZKA

Dokończenie ze str. 5

Niebagatelne więc przyczyny udaremniły książkę o Warszawie. Ani biedujący Gierymski, który pisał później, że „lepiej być koniem wyścigowym w Polsce, niż malarzem”, ani Witkiewicz — nie mieli na takie wydawnictwo pieniędzy. Nie znaleźli również na nie wydawcy. Niektóre tylko rysunki Gierymskiego — „Obrazki warszawskie”, „Zdrój przy ulicy Oboznej”, „Na Wiśle pod Warszawą”, „Kamienne Schodki”, „Na placu targowym”, „Zaułek przy ulicy Furmańskiej” — znalazły się w „Kłosach” i „Tygodniku Powszechnym”. Znajdujemy tam również m. in. „Piwiarnię” Podkowińskiego, który w „Wędrowcu” 1885 zamieścił cykl rysunków z wystawy rolniczo-przemysłowej w Warszawie, według fotografii i momentalnych K. Brandla, a w rok później, w tym samym piśmie, „Stróża” i „Śmieciarke”, tę samą, c której wspominał później Witkiewicz. Ten ostatni ilustrował wraz z Masłowskim podpisanymi inicjałami „Age” artykuł o Żelaznej Bramie — „Żołędki Warszawy”, był autorem tekstu i rysunków poświęconych „Koniom warszawskim”, tak jak i Podkowiński wybrał się ze szkieletami na wystawę rolniczo-przemysłową. Było to w lipcu 1885, w czwartym roku gorzkich doświadczeń przybywców z Monachium. „Kiedy nam kilku, którzyśmy tak samo byli bici przez nędzę i dręczący przez niezgodę z otoczeniem, kiedy nam to życie dogryzło tak, że już wytrzymać nie można było, uciekaliśmy za Wisłę, na praskie targowisko...” W tych ucieczkach było wiele bezradnego przerażenia, ale i wiele zdrowego instynktu. Szli, symbolicznie niemal, „w głąbię społecznego życia”, do ludzi, którzy najlepiej znali smak nędzy, a niebawem poznali mieli — podobnie jak oni i w o wiele gorszych jeszcze warunkach — gorzcy wędrowcy za chlebem po dalekich krajach i kontynentach. W marcu 1885, kiedy Witkiewicz pisał swoją odpowiedź Struvemu i drukował w „Wędrowcu” kolejne odcinki „Malarstwa i krytyki u nas”, demonstrowali na Nowym Jęzdzie bezrobotni Warszawy. „Wzywamy wszystkich ludzi dobrej woli — głosiła wydana z tej okazji odezwa „Proletariatu” — do walki z jarzmem trapiącym ludzkość”.

W listopadzie rozpoczął się proces Ludwika Waryńskiego. Walka o przyszłość miasta toczyć się miała odąd z wzrastającą siłą. Historia niewydanej książki była jednym z jej epizodów.

ARTUR MIEDZYRZECKI



Czy pan zwalnia stoliczek?
— Nie, dopiero czytam drugi tom.

ŚWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY
Redaguje Komitet
Wydawca: R.S.W. „PRASA”

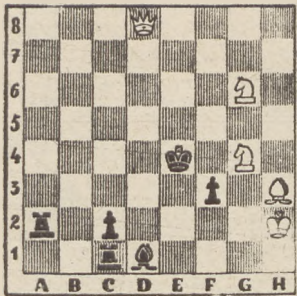
Redakcja: Warszawa, Nowy Świat 58. Telefony: Red. Naczelny: 6-41-64. Centrala 6-41-02, 6-41-23. Administracja: Warszawa, Wiejska 12, tel. 8-00-81. Prenumerata miesięczna zł 4,80, kwartalna zł 14,40, półroczna zł 28,80, roczna zł 57,60.

Zakłady Wkłęsłodrukowe i Introligatorskie RSW „Prasa” Warszawa, Okopowa 58/72.
Zam. Nr 581. Papier rotogr. V/80—82 cm. — 4-B-20029
Podpisano do druku dnia 16.IX.1953 r.

SZACHY

ZADANIE POZAKONKURSOWE

A. Gulajew



Mat w 3 posunięciach

PARTIA NR 79

grana podczas turnieju w Bukareszcie w 1953 r.

Obrona Sycylijska

Białe: Reicher (Rumunia)
Czarne: Bolesławski (ZSRR)
1. e2-e4 c7-c5 2. Sg1-f3
Sb8-c6 3. d2-d4 c5:d4 4.
Sf3:d4 Sg8-f6 5. Sb1-c3
d7-d6 6. Gf1-e2 e7-e5
System ten został opracowywany przez arcybiskupa Bolesławskiego, który tym sposobem odniósł już wiele sukcesów.

7. Sd4-b3 Gf8-e7 8. Gc1-g5 0-0
Czarne nie chcą osiągnąć wyrównania drogą wymian: 8... S:e4 9. G:e7 S:c3 10. G:d8 S:d1 11. W:d1 K:d8.

9. Gg5:f6
Białe zamierzają w ten sposób zawładnąć polem d5. Czarne jednak zachowują parę gońców, co umożliwi im uzyskanie kontrgry.
9... Ge7:f6 10. Sc3-d5 Gf6-g5 11. Ge2-c4 Gc8-e6 12. h2-h4

Od tego momentu białe rozpoczynają ryzykowną akcję na skrzydle królewskim. Lepšie było spokojne 12. 0-0. 12... Gg5-h6 13. g2-g4 Gh6-f4 14. Hd1-e2 Wa8-c8 15. c2-c3 Sc6-e7 16. Wal-d1 Se7-g6 17. h4-h5 Sg6-h4 18. Gc4-d3
Grozilo 18... W:c4 19. H:c4 G:g4
18... Hd8-g5 19. f2-f3 Gf4-g3+ 20. Kel-fl f7-f5!

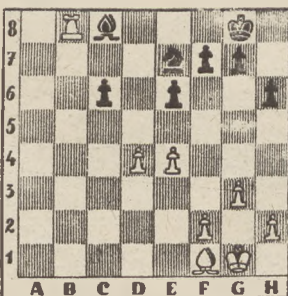
Jak widać, białe zamiast uzyskać atak, same się znalazły pod atakiem.
21. Wh1-g1
Na 21. g:f5 nastąpiłoby 21... G:d5 22. e:d5 S:f5
21... Sh4:f3! 22. Wg1:g3 f5:e4 23. Kf1-g2
Nie można 23. G:e4, bo 23... Sd4+, ani 23. H:e4 Sd4+.
23... e4:d3 24. Wd1:d3 Ge6:d5 25. Wd3:d5 Hg5-h4! 26. Wg3:f3 Rh4:g4+ i białe poddały się.

MECZ SZACHOWY „Świat” – Czytelnicy

W partii W1 100% głosów padło — rzecz jasna — na posunięcie 39... Gb7-c8. W wariantach W200 natomiast o pierwszeństwo walczyły posunięcia 39... h5-h4 (31,8%) i 39... b5-b4 (28,1%). Reszta

głosów rozproszona została na rozmaite odpowiedzi.
Po uwzględnieniu kolejnego posunięcia Redakcji, partie nasze wyglądają następująco:

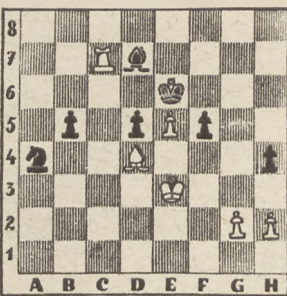
PARTIA W1



38. Sa5:b7 Ga8:b7
39. Wc1-b1 Gb7-c8
40. Wb1-b8

Przypominamy, że odpowiedzi na 40 posunięcie Redakcji

PARTIA W200



38. Wc2-c7 h7-h5
39. Kg1-f2 h5-h4
40. Kf2-e3

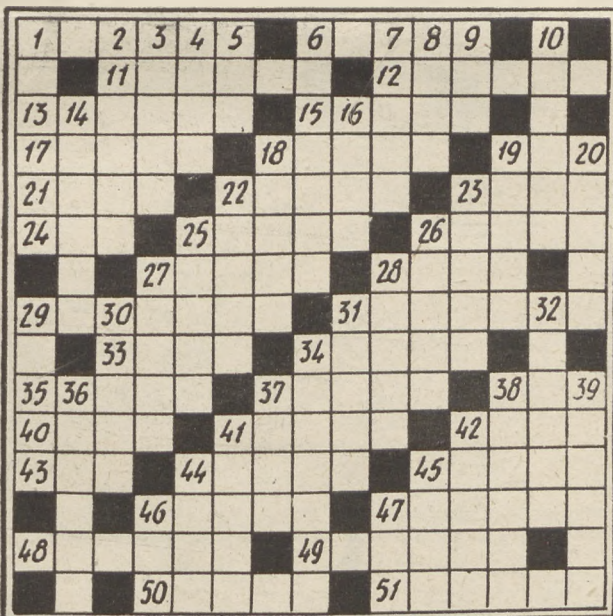
należy wysłać najpóźniej we wtorek, 22 września b.r.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

KRZYŻÓWKA

Poziomo: 1) Zwierzę drapieżne z rodziny psów, 6) Starożytnie miasto w Azji Mniejszej, skąd pochodził słynny filozof Tales, 11) Uroczysty przegląd wojska, 12) Talizman, maskota, 13) Taniec polski, 15) Ssak żyjący w Azji i Ameryce o nosie zakończonym małą ruchomą trąbą, 17) Podniosły ton, 18) Imię męskie, 19) Liczba, 21) Rodnik etanu, 22) Wyspa na m. Egejskim, 23) Część szyl, 24) Postać ze sztuki Kruczkowskiego „Niemcy” (fonetycznie), 25) Styl w architekturze, 26) Pieniądz amerykański, 27) Nazwa jednej z wód mineralnych, 28) Kwadracik szachownicowy, 29) Roślina rosnąca nad wodami, 31) Najmniejsza ilość, 33) Stanowisko przewidziane w schemacie organizacyjnym, 34) Obszycie z taśmy złotej lub srebrnej na mundurze, 35) Miasto powiatowe w woj. rzeszowskim, 37) Wyspa na wybrzeżu Azji Mniejszej, 38) Stopień podoficerski w marynarce, 40) Bóg miłości u starożytnych Rzymian, 41) Ptak domowy, 42) Oprawy obrazów, 43) Materia żałobna, 44) Szabla turecka z szeroką głownią, 45) Autor „Iliady”, 46) Nazwisko malarza polskiego, 47) Część morza wrzynająca się w ląd, 48) Roślina podzwrotnikowa niezwykle wrażliwa na dotyk lub wstrząsy, 49) Wzorec, 50) Część dnia, 51) Posiedzenie, sesja.

Pionowo: 1) Chronometr sportowy, 2) Chęć jedzenia, 3) Imię męskie, 4) Bóg wojny u starożytnych Greków, 5) Masa do pieczętowania, 6) Pogromca byków, 7) „Kamień” po łacinie, 8) Imię męskie, 9) Ssak leśny podobny do żubra, 10) W gramatyce łacińskiej: nijakie, 14) Patecz-



ka kapelmistrzowska, 16) Szał, któremu ulegają nałogowi palacze haszysz, 18) Zatycka do butelki, 19) Powitanie muzulmańskie, 20) Inaczej: oprócz, 22) Opust od ustalonej ceny, 23) Miasto w CSR, 25) Roślina uprawna, 26) Denuncjacja, 27) Przeszkoda na drodze, 28) Sternik wprowadzający okręt do portu, 29) Szeroki nóż kuchenny, 30) Głos męski, 31) Olbrzymi ssak dyluwialny, 32) Część całości, 34) Pieszczoł, 36) Autor powieści „Serce”, 37) Rzeka nad którą leży Oświęcim, 38) Pieniądze, bogactwo w znaczeniu wzgardliwym, 39) Długa przemowa, 41) Dzięki ośoił za-

mieszkujący stepy Azji Środkowej, 42) Ruchoma część prądnicy, 44) Podstawa, fundament, 45) Budynek fabryczny, 46) Przewaga dana przeciwnikowi na początku gry dla wyrównania szans, 47) Przyjaciel A. Mickiewicza.

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesłali prawidłowe rozwiązania, rozlosowanych zostanie

20 nagród książkowych

ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 87

LOGOGRYF: Rośnie Pałac Kultury i Nauki (roścień, kraniec, zapak, tkaczka, kultura, turysta, Ukraina, bukiety).

Za dobre rozwiązanie zadania z nr 87 nagrody książkowe otrzymują:

1) J. Badura — Szopienice, ul. Sienkiewicza 10, 2) J. Berętnicki — Poznań, ul. Miodowa 25, 3) W. Bołński — Sosnowiec, ul. Skłodowskiej 14, 4) J. Chromiński — Łódź, ul.

Północna 27/29, PGR, 5) W. Fabisiak — W-wa, ul. Targowa 64, 6) A. Kasztelan — Ursus, ul. Konopnickiej 7, 7) W. Kot — Kraków, ul. Kochanowskiego 22, 8) J. Kowalski — W-wa, ul. Sniadeckich 10, 9) Z. Labęcki — Tarnowskie Góry, ul. Klasztorna 15, 10) Z. Łojewski — Kraków, ul. 3 Maja 5, 11) F. Łukasiewicz — Pabianice, ul. Warszawska 121, 12) K. Łukowicz — Wrocław, ul. Serowska 28, 13) S. Młynarczyk — Wrocław,

ul. Książkiewicza 30, 14) Z. Pleskiński — jedn. wojsk., 15) S. Simlat — Dąbrowa Górna, ul. Limanowskiego 10, 16) E. Sochacka — Bytom, ul. Stalinogrodzka 26, 17) K. Sochacki — Łódź, ul. Narutowicza 75e, 18) E. Szuster — Łódź, ul. Limanowskiego 6, 19) E. Trzaska — Żelgosz, pow. Starogard, 20) H. Zółkiewski — W-wa, ul. Mokotowska 4. Nagrody wysyłamy pocztą prosimy o potwierdzenie odbioru.



Suknia obok jest dwuczęściowa; składa się z bardzo kloszowej spódnicy (fałdy wszyte w dość szeroki pas) — oraz krótkiego, obcisłego żakietu z trzyćwierciowym rękawem zakończonym mankietem. Komplet ten powinien być uszyty z ciemnej (granatowej, czarnej, brązowej) wełny; kamizelka z białego jedwabiu drapowana pod szyją (zapięcie z tyłu). Inna wersja: suknia z szarej wełny, a kamizelka z kolorowego (zielonego, szafirowego, czerwonego) jedwabiu.

U dołu trzy modele jesienne:

1. Płaszcz z „sześćdziesiątki” szarej lub beżowej — wcięty, z dość szerokimi klapami kołnierza.

2. Ciepły żakiet z grubej wełny w dużą, brązowo-beżową pepitę; wykończenie z brązowej włóczki. Żakiet ten nosimy do brązowej spódnicy i kolorowego (żółtego, zielonego) sweterka. Czapeczka i rękawiczki jasnobezowe.

3. Komplet pod płaszcz nieprzemakalny: szara spódnica i również szary żakiet w kolorową kratę, czarne — pasek, rękawiczki, pantofle, beret; szalik w kolorze kraty.

Inna wersja: brązowa spódnica, szary żakiet w brązową kratę, brązowe rękawiczki, pantofle, pasek, czapeczka i szalik żółty, zielony albo brązowy.

TANIO i ŁADNIE



